

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie Rb. 2. Półrocznie Rb. 4. Rocznie Rb. 8. W Królestwie i Cesarstwie: Kwartalnie Rb. 2.25 Półrocznie Rb. 4.50 Rocznie Rb. 9. Zagranicą: Kwartalnie Rb. 3. Półrocznie Rb. 6. Rocznie Rb. 12. Miesięcznie: w Warszawie, Królestwie i Cesarstwie kop. 75, w Austrii: Kwartalnie 6 Kor. Półrocznie 12 Kor. Rocznie 24 Kor. Na przesyłkę „Alb. Szt.” dołącza się 50 hal. Numer 50 hal. Adres: „ŚWIAT” Kraków, ulica Bonerowska № 12. CENA OGŁOSZEN: Wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście Rb. 1, na 1-ej stronie okładki kop. 60. Na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem kop. 30. 3-cia strona okładki i stronie poza okładką kop. 25. Za tekstem na białej stronie kop. 30. Zaślubiny i zaręczyny, Nekrologi, Nadesłane kop. 75. Marginesy: na 1-ej stronie 10 rb., przy nadesłanych 8 rb., na ostatniej 7 rb., wewnątrz 6 rb. Załączniki po 10 rb. od tysiąca.

Adres Redakcji i Administracji: WARSZAWA, Zgoda № 1.
Telefony: Redakcji 80-75, redaktora 68-75, Administracji 73-22.
FILIE ADMINISTRACYJNE: Sienna № 2 tel. 114-30.
ŁÓDŹ, ulica Piotrkowska № 81.

Za odosłaniem do domu
dopłaca się 10 kop. kwart.

ŚWIAT

Rok VIII. № 19 z dnia 10 Maja 1913 r.

NATURALNA WODA PRZECZYSZCZAJĄCA

APENTA

działa łagodnie i pewnie.

A. TAHN & C^o

LESZNO № 86

polecają Tekturę smołową. — Laki. —
Smołę. — Korkową izolację i t. d.

PENSYONAT WYTWORNY

Drowej Z. Woyciechowskiej.
Nowogrodzka № 40. Tel. 186-58.

Biuro Komisowe 1^{go} rzędu,

zatwierdzone przez Ministerium, kaucyonowane,
Waleryana Śniechórskiego, Warszawa, Królewska
№ 29, przeprowadza: kupno-sprzedaż majątków
ziemskich, domów, wili, placów. Lokację
kapitałów na hipoteki. Dzierżawy majątków.
Wogóle najszersze pośrednictwo. Majątki ziemskie,
domy, wille, place, są zawsze do sprzedania
i sumy do ulokowania na hipoteki.

BIURO
KOMISOWE **Waleryan Śniechórski,**
Królewska № 29.

HOTEL EUROPEJSKI
W WARSZAWIE.

Nakładem Akc. Tow. S. Orgelbranda
Synów w Warszawie wyszła i jest
do nabycia we wszystkich księgarniach
najnowsza komedia w 3-ach
aktach *Stefana Krzywoszewskiego*

Dyabeł i karczmarka.

S. Odożyński Złota 16.

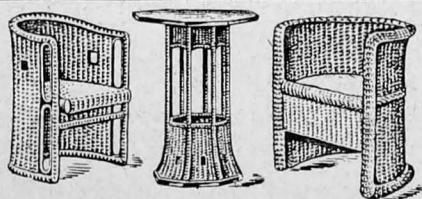
Bielizna męska, Krawaty, Spinki, Laski, Trykotaż i t. d.
CENY NIZKIE! — Prowincja za zaliczeniem.

„SZTUKA LUDOWA”

Ś-to Krzyska 26 (Mazowiecka 1).
przedmioty zdobnictwa, zabawki i t. p. wyroby ludowe.

Hotel ROYAL w WARSZAWIE.
Telefon: 5-09, 8-29.
Winda. Elektryczność. Kapiele.

Znany od lat 16-tu w Warszawie
HOTEL-PENSYONAT Hr. Städtickiej
Marszałkowska 67, tel. 109-60.
Winda — Komfort. Kuchnia wyborowa.



Do ogrodów, werand, hal, poczekalni, Meble Trzeźnowe W. i W. KRAKOWSCY Warszawa, Al.
Ujazdowska 16. Katalogi gratis i franco.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Redaktor: Stefan Krzywoszewski.
Warszawa, ulica Zgoda № 1, róg Chmielnej.

Redaktor odpowiedzialny na Galicję: Antoni Chołoniewski, Kraków, Bonerowska № 12.

Hiszpańskie i albańskie wąwozy.

Cała praktyka życiowa, cała wszechludzka walka o byt, opiera się na sprzeczności interesów tych, którzy coś mają i nie chcieliby się z tem rozstać, oraz tych, którzy chcieliby osiąść to, co inni mają. Z tej fundamentalnej sprzeczności nietylko wyszły dotychczasowe dzieje ludzkości, ale wyszły, wychodzą i wychodzą będą wszystkie — jakże rozmaicie nazywane! — „odcienia partyjne”.

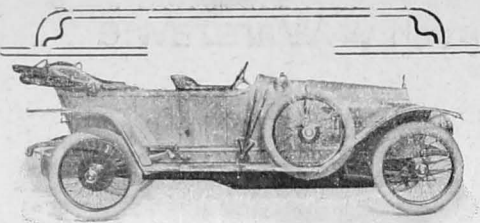
Co zaś do teorii życiowej, co do fundamentu wszelkich od początku świata „systemów” filozofii praktycznej, to niema wyspekulowanych „zasad” oraz paradoksalnych sofizmatów, któreby źródła swego nie miały w sprzeczności między: doktrynerstwem a oportunistem. Doktryner, *vel* ideolog, powiada: rządzić powinny człowiekiem i światem niezłomne, nie znające „względności”, nie ustępujące wobec niczego — zasady. Oportunista powiada: tak, niewątpliwie, mocne i ścisłe zasady są niezbędne, ale dlatego, aby je wcielić w życie, trzeba je — czasem! — przystosować do realnych warunków, do okoliczności, do faktów dokonanych, trzeba dochodzić do celu drogą kompromisu, gdy nie można przebojem; lepszy wróbel w rękę, niż sokół na sęku; a co do nieprzejednanego stosowania zawsze i wszędzie granitowej doktryny, to rzymianie już przecie wołali: *Summum jus — suprema injuria!* czyli, że najwyższukańsze stosowanie litery prawa może dać w rezultacie najdoskonalszą... niesprawiedliwość.

Wszystka, jak świat szeroki i długi, t. zw. opinia publiczna roz-

pada się faktycznie na dwa obozy: doktrynerów i oportunistów. Z tych też obu, wręcz sobie przeciwnych punktów widzenia sądzono są wszystkie sprawy i wydarzenia na ziemskim padole.

Generał York, opuszczający chorągwie Napoleońskie, łamiący parol żołnierski, — bohater! Bo, zdradzając Napoleona, wielką oddał usługę ojczyźnie swojej, Prusom. Nasz książę Józef, nieugięty wobec zaklinań, aby nie wytaczał dalej krwi polskiej w obronie Napoleońskiej sprawy, najwidoczniej przegranej, — bohater! Bo przy idei legionów wytrwał *usque ad finem*, a ponad wszystko cenił dochowanie wierności zarówno doktrynie, jak zasadzie.

Oto sto już lat z okładem „jaśnieje” na kartach dziejów naszych „wiekopomna” szarża pod Somo-Sierrą ułanów Kozietulskiego i Łubieńskiego. Inaczej się o niej nie mówi i nie pisze, jak, że sławą okryła imię Polski oraz polaków do siódmego, a, kto wie, czy nie do dalszego jeszcze pokolenia. Szarżę tę opiewano, odtwarzano panoramicznie, wizerunki jej wieszano nad łózkami dzieci obok portretów Kościuszki i Mickiewicza. Poczytywano by za *crimen lesae patriae*, jeśliby kto zawołał: Opamiętajcie się, rodacy! A toć że to przecie ułani Kozietulskiego i Łubieńskiego, polscy, nasi ułani, masakrowali bez miłosierdzia hiszpanów, broniących własnej ojczyzny, umierających — a z jakim męstwem! — za wolność i niepodległość Hiszpanii! Toć-że przecie za takie poczynanie sobie chyba hańba i srom padają na „smutnych bohaterów”, nie zaś



Lorraine-Dietrich

(FRANCYA).

Minerwa (BELGIA).

Overland (AMERYKA)

„VARSOVIE-AUTOMOBILE”

Marszałkowska 154.

Telefon 85-33.

WŁAŚCICIELE:
(STANISŁAW GÓRSKI
i K. hr. RONIEMSKI).

splendor i sława nieśmiertelna! Niechby jaki szwadron innych jakich ułanów poszarżował tak nas, polaków, trzebiąc w żywym ludzkim mięsie drogę do... Krakowa dla jakiego najeźdźcy, nie posiadającego Napoleońskiego uroku!... My pierwsi piętnowalibyśmy najhaniebniejszymi wyzwiskami takie „bohaterstwo”, my, co nie możemy dość narwać wawrzynów i kwiatów dla krwawych junaków, którzy pod Madrytem tratali wolność niepodległej Hiszpanii.

Uspokójmy się. Nikt nam tego nie powie. Przedewszystkiem dlatego, aby nie „obdzierać” własnych dziejów z blasku i chwały. Jakby dzieje nasze tak były w blask ubogie, że aż je złocić trzeba błyskami — liczmanów!

Ale poco sięgać pamięcią w zamglone stuletniem oddaleniem hiszpańskie wozwozy! Dziś, w chwili, gdy ta kropla atramentu spływa na papier, stoimy wobec faktu, wywołującego wśród społeczeństwa polskiego nastrój, co go nazwać śmiało — paradoksalnym, a mający — i on też — źródło w nieśmiertelnym przeciwieństwie oportunistu i t. zw. ideologii.

W rozterce nasza, polska, opinia publiczna. W rozterce między t. zw. austriacką orientacją polityki polskiej narodowej (mającej od wielu już lat większość polską za sobą) a instynktownym odczuwaniem, że z rolą, którą w chwili obecnej gra Austria na półwyspie

Bałkańskim, jednak — westchnąwszy! — solidaryzować się niema sposobu.

Juści, że nasze sympaty lub antypaty nie ziębią Austrii, ani też grzeją; atoli *stanowisko*, które my wobec akcji austriackiej zajmujemy, urabia „duszę polską”. Albo utrzymuje ją w nieskazitelnej szlachetności, albo — deprawuje ją.

Musimy przeto zająć wobec niewątpliwie „historycznej” doniosłości faktów, których widownią jest półwysp Bałkański, wyraźne i niezłomne stanowisko.

Jakie?

Jedno z dwojga: albo doktrynerskie, albo oportunistyczne. *Tertium non datur*.

Przedewszystkiem tedy, jeżeli uznamy za rządzącą światem i powołaną do rządzenia nim zasadę, iż fundamentem wszelkiego prawa jest siła, iż miecz, *respective* siła, ustanawia wszelkie na świecie Bożym prawo własności, natenczas możemy przyglądać się akcji austriackiej — spokojnie i z filozoficzną wyrozumiałością.

Albowiem, cóż się stało i dzieje? Oto skonfederowane bałkańskie państewka, uderzywszy spodem na Turcję, pobiły ją na głowę i zagarnęły całe dzielnice państwa ottomanów. Zbyt jednak daleko idące sukcesy nie leżały w interesie państwa, będącego silniejszym, niż razem wzięte Bułgaria, Serbia, Grecja i Czarnogóra. I oto Austria, uzbroiwszy się od stóp do czuba i zagroziwszy Europie rozpętanem wojny „europejskiej”, wymogła utworzenie niepodległej Albanii, której nawet chciała ofiarować odebrany od czarnogórców Skodar. Innymi słowy: Turcyi podyktował prawa silniejszy od niej związek bałkański, a związkowi dyktuje prawa silniejsza od niego Austria. I jeżeliby z kolei podniósł głos ktoś, od Austrii silniejszy, i jał je rozkazy swe narzucać... natenczas stałoby się tylko zadość *zasadzie*, sformułowanej przez Lafontaine'a: *La raison du plus fort est toujours la meilleure*.

Mały kraj i słaby naród nie mają prawa nie słuchać wielkich i silnych państw — i basta! Dlaczego? Ponieważ słabe są i małe. Czyliż potrzebna lepsza racja!

A jednak: nie! My, polacy, zwłaszcza my, polacy, nie powinniśmy patrzeć na to, co się dzieje pod Bałkanami, spokojnie i z filozoficzną wyrozumiałością. Powinniśmy odróżnić lojalny pojedynek (np. między Turcją a Czarnogó-

rzem) od podniesienia ręki na lili-puci kraik przez potężną Austrię.

Wszak gdy na ulicy zamachnie się jaki drab na malca-wyrastka, przechodzeń pierwszy-lepszy ma prawo albo go pohamować, albo ostro odezwać się o tego rodzaju odruchu...

Ale gdy niesprawiedliwość i gwałt mają stać się na widowni... polityki, na arenie międzynarodowej, zjeżonej bagnietami, a — to co innego! Godzi się (!) przepolitykować nawet najświętsze zasady i idee, które się wynosiło pod niebiosą — w teorii.

A my-ż sami? Pławimy się w oportunizmie, coprawda, platonicznym, ale, jak się rzekło, w dostatecznej mierze zatruwającym — własnego naszego ducha.

Czyż powinno tak być? My, polacy, osobliwie my, polacy, musimy hołdować bezwzględnej uczciwości nietylko w życiu prywatnym, ale i publicznym i politycznym. W imię przeszłości i teraźniejszości naszej. Musimy stać — moralnie, duszą całą — po stronie sprawiedliwości, słuszności i szlachetności. Zawsze i wszędzie.

Choćby trzeba było wycofać zachwyty nasze z wawozów hiszpańskich i rozstać się z Austrią u progu zabalkańskiej Somo-Sierzy.

Czesław Jankowski.



W te nasze, polskie, szare dni..

W te nasze, polskie, szare dni,
gdy pachnie wiosna gdzieś daleka,
gdy nic nie woła, nic nie czeka,
zmęczonej duszy coś się śni...

Nad rozlewiskiem mgłnem rzek,
które, spienione, groźnie płyną
w oddal północy mroczno-siną,
włoskiego morza śni się brzeg...

Pod łożem wiekiem chmur,
nad mazowieckim gdzieś ugięciem,
w sercu, tęsknotą polską chorem,
mającą stoki włoskich gór...

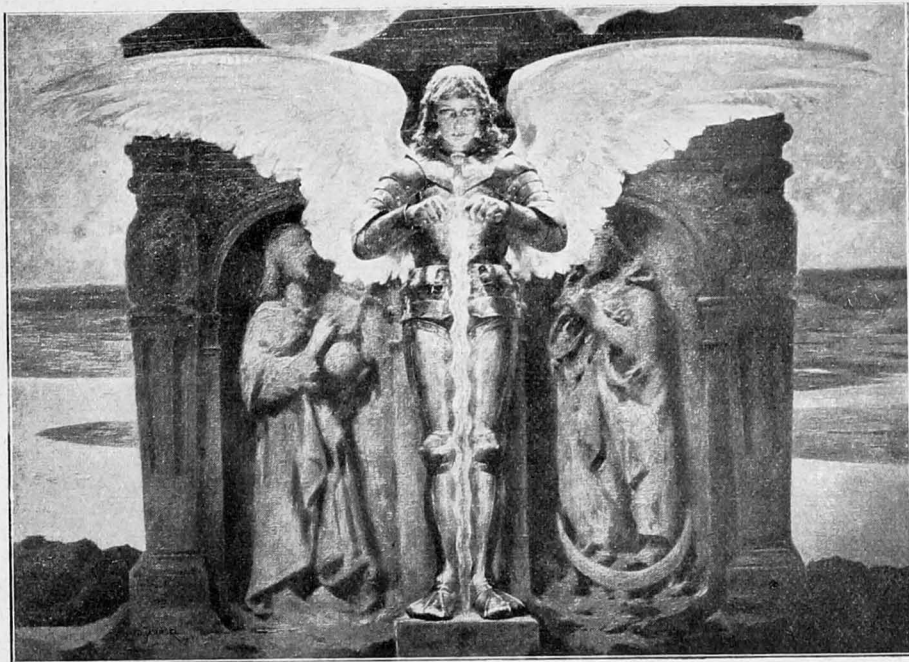
Wśród szarych murów szarych miast,
gdzie ludzie żywot szary pędzą,
nad spraw codziennych naszych nędzą
śnią się orszaki świetnych gwiazd...

W kraju, gdzie krzyż podiera krzyż,
gdzie każdą radość cień cmi troski,
śniesz się, promienny kraju włoski,
Italio, duszy mej się śniesz!

Józef Relidziński.

Wystawa wiosenna w Tow. Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie.

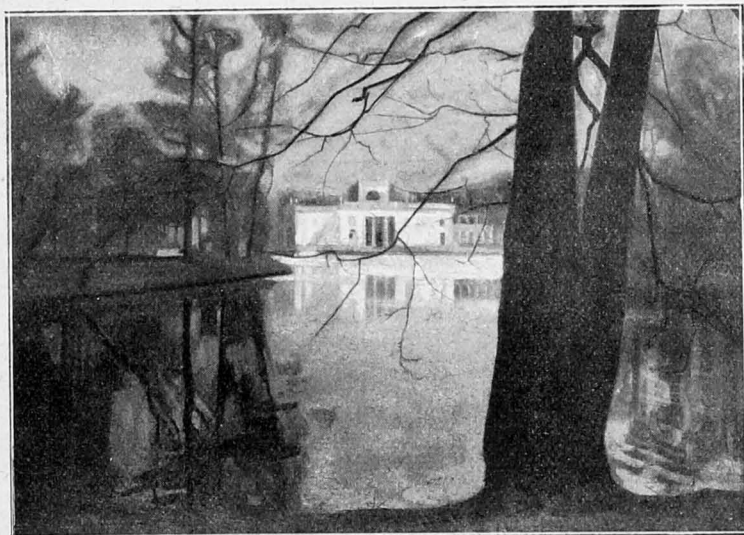
Wystawa wiosenna urządzona przy Tow. Zachęty, jest pewnego rodzaju nowością, ogranicza się bowiem prawie wyłącznie do artystów warszawskich. Zebrano około 350 okazów, wśród których kilka młodych talentów wybija się odrazu na pierwszy plan. Z całością, rozmieszczoną we wszystkich salach gmachu Zachęty, łączy się zbiorowa wystawa Teodora Ziomka, którego kilkadziesiąt krajobrazów zajmuje jeden specjalny salon.



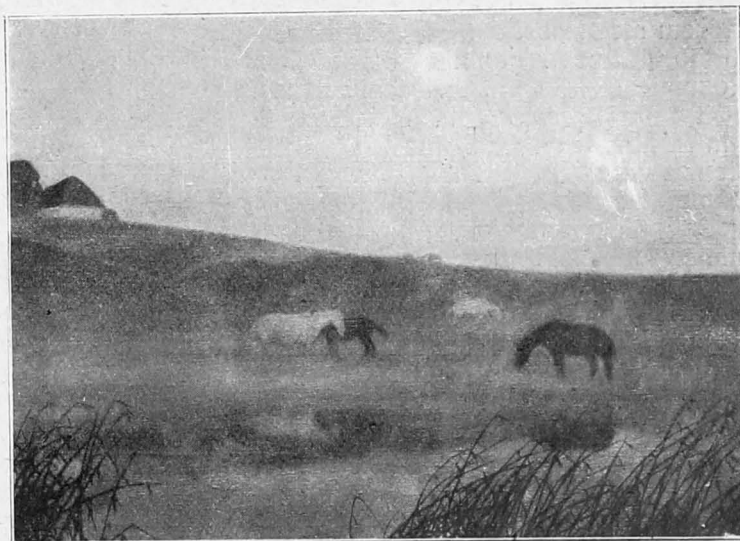
Zdzisław Jasiński. Anioł.



Ludwik Lewandowski. Siostry.



Podgórski. Łazienki.



Józef Ryszkiewicz (junior). Na pastwisku.



M. Kalinowska-Koźniewska. Portret p. Cz.



Teodor Ziomka. Roztopy wiosenne.

Słowacki nad oceanem.

Ze wzruszeniem przeglądam karty albumu, nabytego szczęśliwie w jednym z antykwaryatów paryskich. Format albumu podłużny; ryciny litografowane; data wyjścia niewymieniona, lecz do odgadnięcia łatwa; tytuł: „*Pornik et ses environs; dessinés d'après nature et lithographiés par Henry Chouppé*”.

Któż nie wie, że w Porniku, „małej mieścinie nad Atlantykiem”, dwukrotnie: w roku 1843 i 1844, bawił Słowacki? Szukał on tu w kąpielach morskich pokrzepienia fizycznego, a w zbliżeniu się do natury spokoju ducha. Znalazł jedno i drugie, i znalazł więcej jeszcze, bo wysoki, może najwyższy geniuszu swego rozkwit.

Wiktor Hugo, Bajron, Gëte są to wielcy, może nawet genialni poeci. Wyższej nazwy nikt im nie nada, bo ona by do nich nie przystawała. Inaczej z Mickiewiczem, Słowackim, Krasińskim. Mówić o nich „poeci” — zamało; mówić „geniusze” — nieściśle. „*Vox populi*” z przedziwną intuicją dał im miano „wieszczów”. Ta nazwa utrzymała się i utrzyma. Tak, to są wieszcz, prorocy — prawie święci.

Wszystko, czego się człowiek święty dotknie, każde miejsce, na którym stopę postawi, staje się przez to do pewnego stopnia uświęcone. Rozumie się, że to uświęcenie uznają tylko wtajemniczeni i wierzący. Dla Francuza, Anglika i innych cudzoziemców Pornik jest i nazawsze zostanie zwykłym miejscem kąpielowym; polak nigdy obojętnie do tego miejsca nie zbliży się, nigdy go zimnym wzrokiem „turysty” nie obejmuje.

Dość ciężka ręka karty albumu zarysowała, ale one są dla nas drogie, ukazują bowiem Pornik w okresie mało późniejszym od tego, gdy Juliusz tam gościł.

Więc oto widzimy na pierwszej karcie *Hôtel de France*, jedyny w Porniku dom zajezdny, a więc ten, w którym przemieszkiwał Słowacki w jednym czasie z księstwem Czar-toryskimi. Oto widok miasteczka od strony gościńca, idącego z Nantes. Oto znów smutna, uboga przystań z ponurą ruiną średniowiecznego zamczyska i widokiem na dale oceanowe. Dalej mamy miasteczko od strony morza, na nagich, falami otłukiwanych skałach, dwa miejsca kąpieli: jedno z kabinami, drugie bez nich (w ostatnim, zapewne, kąpał się poeta). *Casino* i miejsce publicznej przechadzki, zatajone wśród ciemnych, gdzieśgdzie tylko zazielonych złomów skalnych; piękny, choć, jak wszystko tu, dziki widok kościołka w pobliżu miasta, nad Oceanem — wreszcie najciekawszy może dla nas monument druidyczny, na którego szczycie Juliusz często przesiadywał, wpatrzony w zachody słońca, we wschody księżyca, w nieskończoność

ność Oceanu, lub w głębszą odepchnięcie własnej duszy otchłani.

Bezpośrednio przed przybyciem do Porniku, Słowacki żył w męczącej, duchowej rozterce. Towianizm to pociągał go, to odpychał. Przyjąwszy jego zasadniczą ideę, a raczej siebie w tej idei odnalazszy, do ludzi, wyobrażających jakby urzędowi tej idei kościołek, nabrał podejrzliwości i niechęci. Duch, przebywający nieustannie w sferach najwyższych, wyczerpał mu nerwy i sprawności cielesnej pozbawił. Chudł, kasłał, miewał halucynacje, a silnie już rozwinięte suchoty wyczerpywały go ciągłą gorączką.

Zbawczy instynkt powiódł go nad morze.

W listach stamtąd nie ma dość słów na odmalowanie zachwyty, jaki w nim wzbudził sam widok Oceanu.

„Między tem morzem a mną jest tajemniczy jakiś związek, sympatwa, i ta musi być prawdziwa, albowiem nigdy inne morza nie miały dla mnie podobnego uroku...”

Zachwyca go tu wszystko: zielonawa barwa Oceanu, jego brzegi szare, skaliste, chwastami okryte, to jest takie, jakie widział w wyobraźni, czytając powieści Waltera Skota — nawet swoisty zapach wody oceanowej. Przyroda tutejsza, choć obca, jest mu przecie znajoma, bo „widział ją kiedyś przeczuciem, pragnął sercem”. Weseli się, jak student na wakacjach, albo jak ptaszek, wypuszczony z klatki. Przygląda się z rozrzuconiem motylkom, latającym między chwastami, pliszkom, które siadają na kamieniach nadbrzeżnych — w jednych i drugich widzi stare znajomości z lat dziecińczych. Nie może dość nachwalić przyrody, która, ciepła, wonna, otoczyła go skrzydłami, zapraszając do odpoczynku, wyrzucając, że się zbyt długo gorączkowym myśleniem oddawał, a o niej zapomniał...

To są pierwsze, kojące wrażenia; reakcja bardziej nerwów, niż ducha. Potem przyjdą głębokie rozmyślenia i górne wzloty. Ocean nie tylko do jego zmysłów przemawiać zaczyna: poeta dojrzy w nim myśl bożą, potężną i znajdzie w niej rozwiązanie całej zagadki istnienia.

Poeci, zwłaszcza typu „poeci-wego” pana Reja z Nagłowic, to jest nie wychylający się poza kopce graniczne swej wsi i swego kraju, chowający się, „jak na dziedzińcu zając”, ulegają w wysokim stopniu jednostronnemu wpływom swej ojczyzny przyrody, swego rodzinnego klimatu. Stąd wynika, że poeci polscy, przed Słowackim prawie wszyscy (z wyjątkiem Mickiewicza, jako twórcy sonetów krymskich) — tak mało zajmują się morzem, tak o niem nie prawie zgoła nie wiedzą. Rzeczpospolita etnograficznie i politycznie istniała wprawdzie „od morza do mo-

rza”, te morza jednak znajdowały się na jej najdalszych krańcach i rzadko bywały przez mieszkających w środku kraju oglądane.

Poezya polska przedromantyczna jest, jak cały kraj, cicha, sie-lankowa, na kłosisłych i lesistych płaszczynach rozpostarta, a jeśli hu-czą w niej niekiedy gromy, to jeno burzą wojenną sprowadzone.

Lwi ryk Oceanu odzywa się dopiero w poezji Słowackiego. Rozszerza to królestwo Muzy polskiej i przewiewa je tchnieniem nieskończoności.

W Porniku dopełniły się mistyczne śluby dwóch potęg równomier-nych: geniuszu polskiego wieszca i Oceanu. Doskonale one do siebie przystawały; dusza poety i otchłani wodna rozmawiały ze sobą, jak oblubieniec z oblubienicą.

Z tych ślubów narodziły się ostatnie, najbardziej uduchowione dzieła Juliusza. I w „Listach”, i „Raptularzu” i w samych dziełach znajdują się na to dowody.

W liście do matki z dnia 2 października 1843 roku pisze Słowacki o pobycie w Porniku: „Wyszedłem na brzegi. Tam skały, osypane srebrną i złotą miką, paliły się na słońcu, niby tarcze ogromne, albo trony Oceanid...” Ten sam obraz, lecz wykończony i myślą bogatą, znajdziemy we wstępie do „Genezis z ducha”: „Tu, gdzie za plecami moimi palą się złote i srebrne skały, nabijane mikowcem, niby tarcze olbrzymie, przysnionne oczom Homera... pozwól mi, Boże, itd... Trzymając się tej wskazówki, bez trudności już wskazać możemy miejsce, o którym mówi poeta: „Na skałach oceanowych postawiłeś mnie, Boże, abym przypomniał wiekowe dzieje ducha mojego...”

Można powiedzieć, że gmach, w ciągu długich lat przez poetę budowany, w Porniku został ukończony i wspaniałą kopułą, wszystkie linie harmonijnie skupiającą, nakryty.

Na wiele lat przedtem, zanim pozytywizm wprowadził do filozofii nauki przyrodnicze i, owszem, oparł ją na nich, Słowacki to uczynił, i poszedł dalej jeszcze, bo w ewolucji form roślinnych i zwierzęcych dojrzał stopniowe kształtowanie się i doskonalenie ducha, „który jest wszystkim i z którego wszystko”.

W wrywkach „Raptularza”, gdzie poeta zapisywał na gorąco wyniki swych studyów, wymieniony jest Pornik. I w istocie, tam tylko, nie gdzieindziej, mógł on je odbywać. Jakież inne z miejsc, które poza Paryżem nawiedzał, mogło mu być za-pewnić tyle spokoju i dostarczyć tyle materiału, co Pornik? Tu on przeszedł jakby najwyższy kurs akademii, wydającej patenty na „doktorów anielskich”.

Tu również — wyznać trzeba — wpadał w mistycyzm, graniczący z gusłami... Cóż bowiem, między innymi, wyczytujemy w „Raptularzu”?

....Dziś, odwiedzając druidyczne świątynie, znalazłem przed głazami różę, świeżo zerwaną. Kto ją porzucił? Zdawała mi się duchów ofiarą. Po dwakroć rzucałem ją do wnętrza grot, chcąc, aby, jak lampa, świeciła w ciemności — ale zawsze zapadała tak między kamienie, żem ją wydobyc musiał. W tem być musi jakaś tajemnica i nauka duchów, ale jej odgadnąć nie mogę“.

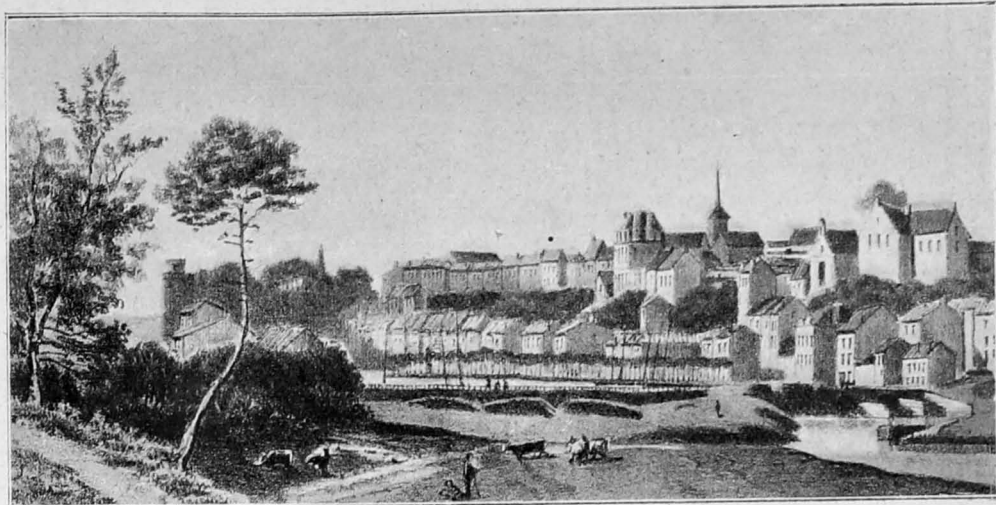
Widać, stąd, jak bardzo duch jego stawał się podobny płomieniowi, który to wysoko słupem prostym wystrzela ku niebu, to znów łamie się w połowie, liże ziemię i podstawę własną trawą. I to również widać, że duch ludzki, choćby najpotężniejszy, dopóki w ciele mieszka, czystym, bożym duchem być nie potrafi. Zawsze się doń jakaś słabość, wręcz mówiąc: naiwność przyplącze. A to duchom głupim, lecz które ilością i bezczelnością są na swój sposób silne, pozwala tamtym duchom uragać.

Jakże inaczej dałyby się zrozumieć i wytłómaczyć wielkie sprzeczności, w owym czasie w duchu poety zachodzące? Wieszczy, jasnowidz, mędrzec, docierający myślą do samego rdzenia wiekuistej zagadki bytu, bywa chwilami naiwny, jak dziecko, zabobonny, jak stara dewotka...

W Porniku Słowacki zdobywa samowiedzę swego stanowiska i posłannictwa. Rozumie, że należy do najwzwyższych w narodzie duchów, do świętego hufca, który wiezie Polskę przed innymi narodami w przyszłość, a do którego, prócz Juliusza, należą: Mickiewicz, Krasiński, Bułhakow, Królikowski, Towiański, Libelt. „Ostatni — zapisuje w raptularzu Słowacki — nie twórcy, ale już pracownicy“. Dla innych współczesnych poetów i myślicieli pobłażliwe ma lekceważenie. „Po to są — mówi — aby bawili docześnie naród, sami się bawiąc bawieniem narodu. Szacowne bardzo istoty, lecz na teraz wcale nie potrzebne“. Cisi, pokorni, w kwiatkach rozkochani, nie czują, jak ptaszyny, że nad głowami narodu tworzy się i zawichrza burza, piorunami ciężarna...

Tenże sam narodu wódz zapisuje w dzienniku sny — niby emerytografoman, innego nie mający zajęcia. Niekiedy te sny, jako rojenia wielkiego artysty, bywają artystycznie piękne; niekiedy wszakże poeta to tylko ma o nich do powiedzenia: „Sen o jakimś umarłym i o pakietach dyliżansowych“.

W tym czasie nabrał Słowacki odrębnego na rzeczy ziemskie spojrzenia. Albo je widział w nadzwyczajnym zdrobnieniu, niby jakiś duchowy Guliwer robótki lilipucie, lub też prześwieślał je i uduchowiał promieniami własnego ducha. Stąd powstały dwa, w Porniku napisane a dziwnie piękne, eteryczne wiersze „Do pastereczki, siedzącej na druidów kamieniach w Pornie nad Oceanem“. Jeden z tych wierszy jest akwarelą czy miniaturą, zestarego, pergaminowego



Pornic, widziany od strony Nantes.

wego rękopisu wyjętą, błękitem i złotem wymalowaną, a tak lekką, jak pył kwiatów, lub motylego skrzydełka...

Jak ty mi jesteś wdzięczna,
Duszczyko moja mała,
Słoneczna i miesięczna,
Prawie bez krwi i ciała!...

Dla poety, nie oderwanego jeszcze ze wszystkim od ziemi, lecz już na nią z wysoka patrzącego, ta pasterka jest „zarazem chłopcą i Dyana, zjawieniem i obrazem, kochanką i dziecięciem, smutkiem i wniebowzięciem“.

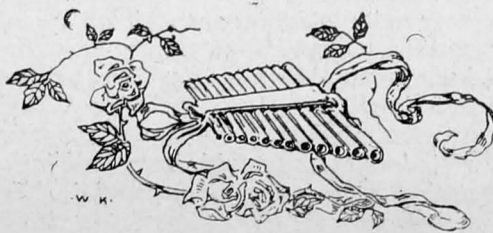
W wierszu drugim ujawniła się ówczesna wiara poety w metempsychozę, a właściwie w nieśmiertelność duszy, która, nie mając kresu, nie może też mieć i początku.

W prostej dziewczęce, pasacej krowy czy kozy, dopatrzył się Słowacki królewskości, pochodzenia w prostej linii od Normy i Adalgizy. „Są w pastuszkach — pisze o tem do pani Bobrowej — dumne i piękne dusze, które raz może spotykają człowieka, z którym się rozmówić mogą, a widząc go, przychodzą śmiało, z prostotą gołębi, siadają przy śpiącym, czekając, aż oczy otworzy. Mówią do niego, jakby go brały na świadectwo, że wiedzą, czem są, i odchodzą spełnić swój żywot biedny i pracowity“. W wierszu przemawia:

Boże, błogosław tej małej pasterce...
Albowiem w dziecku tem słyhać królowę
Ducha, która tu w nieszczęściu upadła
I na ściernisku położyła głowę.

Wiele zawdzięczał Słowacki pobytowi w Porniku. I dlatego każde oczy polskie z zajęciem spoczną na widokach tej małej, cichej a jednak pięknej i ducha pełnej miejscowości.

Wiktor Gomulicki.



Aforyzmy Tomasza Zana.

Legendowa prawie postać Tomasza Zana zawsze żyć będzie w naszej literaturze, a poniekąd i w historii, oblana światłem poezji i urokiem pewnej tajemniczości. Człowiek cichy, spokojny, stojący przez całe życie na bardzo skromnym posterunku, niczem nie okazujący jakichś wybitnych zdolności, mistyk, romantyk, poddający się z pokorą losowi, niezdalny do walki i czynu — miał za młodu Zan kilka chwil szczęśliwych, którym zawdzięcza (można to powiedzieć bez obawy o przesadę) przejście do nieśmiertelności.

Tak jest! Póki brzmieć będzie mowa nasza i cześć dla naszej przeszłości, z szacunkiem i wdzięcznością wspominać będą potomni postać Arcypromienistego. Nie rozumieją może tego nadzwyczajnego wpływu, jaki wywierał na umysły młodzieży, — przy skąpym materiale faktycznym pozbawieni będą możliwości dokładnego zdania sobie sprawy, w czem leżała potęga „pierwszego żołnierza tej epoki“, — ale będą musieli liczyć się z tą nazwą, przyznaną Zanowi przez współczesnych. I ze wzruszeniem będą odczytywali napis, opiewający, że tu spoczywa: „miły Bogu i ludziom Tomasz Zan, którego pamiątka jest w błogosławieństwie“.

A gdyby nawet nie było Filomatów i Filaretów, tobyśmy musieli pamiętać, że „miły Bogu i ludziom“, był miły i Mickiewiczowi, że ustalona jest opinia o wpływie Zana na umysł i twórczość największego mistrza naszej literatury, a nawet na cały kierunek romantyczny poezji naszej. Z nazwiskiem Zana wreszcie nieodłącznie wiązać się będzie imię Maryli. Wszak to on zawiózł Mickiewicza do Wereszczaków, on od pierwszej chwili był świadkiem łez i uniesień Adama, zamierzanych buntów i rozpaczliwego poddania się konieczności, on został do końca jego powiernikiem, doradcą i pocieszycielem.

Dlatego też sędzę, że podane po-

niżej aforyzmy Zana rzuca drobny promyczek światła na tę, postać zamgloną przez niedostateczność źródeł, a przecie urosła w kształty olbrzymie, fantastyczne. Niema w nich nic wybitnego, zaledwie parę z nich nosi na sobie cechę oryginalności — ale wszystkie razem przedstawiają nam obraz duszy wysoce chrześcijańskiej. Wydaje się, że to przemawia jakiś apostoł, jakiś ojciec Kościoła, a nie człowiek, zostający na skromnym stanowisku lustratora górniczego. I prawdopodobnie w tym właśnie głębokim chrystianizmie czerpał Zan swą siłę i wpływ na otoczenie, nim jednak dla siebie cześć ogólną, która, jak to wiemy dobrze, do końca życia mu towarzyszyła.

Aforyzmy zostały znalezione w papierach rodziny Świętorzeckich, a więc rodziny żony Zana, Brygidy Świętorzeckiej. Są one spisane ręką kobietą na dwóch arkusikach papieru listowego. Każdy arkusik opatrzony jest osobnym tytułem. Zda się, że te zdania poczęści wyjęte zostały z listów Zana, bo w ogłoszonej jego korespondencji spotykamy sporo podobnych aforyzmów, a poczęści spisane były po jego śmierci przez osobę, mającą sposobność ciągłego z nim obcowania i dlatego dobrze pamiętającą wygłoszone przez niego maksymy.

K. Bartoszewicz.

Niezapomnianej pamięci, najsłabszego i najzaczepniejszego z ludzi — Tomasza Zana — niektóre zdania i myśli.

„Nigdy nie sądzić nikogo — Pan Bóg sam jedynie jest znawcą serc ludzkich. — Sądząc, przywłaszczamy sobie urząd Sędziego, Boga“.

„Kiedy nam zdaje się, że ktokolwiek względem nas jest winnym, to my względem niego jeszcze doskonalszymi, lepszymi starać się być powinniśmy“.

„Nieprzyjaciele nasi oddają nam daleko większe usługi, aniżeli ci, co nas kochają, bo wykazują błędy nasze, wykroczenia i ułomności, których nie postrzegają osoby, nas kochające“.

„Starać się zawsze nie opuszczać ani najdrobniejszej rzeczy dobrej, którą zrobić możemy, albo powinniśmy — są zdarzenia, na które jedyna tylko jest pora, która drugi raz nie wróci — i z której korzystać powinniśmy“.

„Bydź (badź?) codzień gotową znieść choćby chwilę zasmucenia — utęsknienia — pracy — nudy — mokołu. Będzie to pożyteczniejsze, jak wielkie i głośne rzeczy wykonywać — jak zdobywać sławę — oklaski. Nad wszystko to droższe jedno poświęcenie się. Przez nie poświęcamy siebie i drugim. Drugim dajemy przykład, zachętę“.

„Powinniśmy starać się ukochać to (tych), co się nam najbardziej nie podobają. — A wtenczas odkryjemy najrzadsze, najkosztowniejsze przymioty w tych, którzy się nam nie podobali“.

„Każdy, z kim los zdarza nam się spotkać, ma część naszego szczęścia — jak i my także nawzajem mamy część jego szczęśliwości. — Tę obowiązani jesteśmy oddać mu. — a odebrać swoje.“

Zatrzymana — nam samym ujmą i strata będzie“.

„Pieniądz dany nie jest wsparciem, pieniądz nie łączy nikogo — prędzej odpycha tego, komu owy daję“.

„Czego nie oddamy dobremu duchowi, np. Kościołowi, czy bliźniemu, czy krewnym, czy rodzicom, czy dzieciom, to zmuszeni będziemy oddać złemu — np. nieprzyjacielowi, złodziejowi, asesorowi etc. Ujmowanie czy skąpieństwo nie przynosi korzyści“.

„Niema potrzeby samym szukać daleko wielkich rzeczy. — Miejmy tylko w sobie doskonałości, przymioty, weźmijmy w siebie, co tylko najlepszego, a przyjdzie do nas cały Paryż (naturalnie, pod tym wyrazem chciał powiedzieć, że szukać nas będzie świat cały)“.

„Gdzie trudność jaka, tam skarb właśnie“.

„Antypatya — wyrażenie i uczucie niechrześcijańskie“.

„Miłości wyłącznej strzeżcie się, bo ta pochodzi — jeżeli nie od złego, to przynajmniej od jakiegoś nieczystego ducha“.

„Pielęgnować i krzewić wszystkie dobre uczucia, a starać się udalać i tępić wrażenia przykre niemiłych pamiątek, lub trwogi o przyszłość“.

„Nie ten, kto ofiaruje, ale kto przyjmuje, robi łaskę“.

Gdy pewnego razu kochany pan Tomasz, jak to się często zdarzało, był nalezany od jednej z licznych przyjaciółek i wielbicielok, aby powiedział „jaka jest droga na tym świecie do rajów?“ — wziął przeto pióro i zapisał jej własną ręką następujące słowa:

„Pozwólcie każdemu, ktokolwiek jest z wami, czynić to, co się jemu podoba; a nie pozwalajcie sobie czynić tego, co się drugiemu nie podoba, tylko to czyniąc, co im miło“.

„Kto nie kocha choćby jednego człowieka na świecie, nie ma w sobie prawdziwej miłości“.

„Nie odrażać się, chociaż czasem wydaje się nam rzecz jaka przykra, nie miła do spełnienia — bo prawie zawsze tam dla nas ukrywa się skarb jakiś, — a przeciwnie, gdzie pozór przyjemności — szczęścia — to, jak błyszcząca blaszka, co nas zwodzi, — a która, jak spełźnie, jak się zetrze, tak widzimy, że to pustka i nic więcej“.

Powieść o jawno-grzesznicy.

Wielkie witryny księgarskie ukazały przed kilkoma tygodniami nową powieść Gustawa Daniłowskiego, powieść, która, niezwłocznie po tym publicznym występie, uległa konfiskacie.

Ale ten przykry los, to nowocześnie nazbyt, nazbyt często stosowane *auto-da-fe*, spotkało ją tylko w obrebie Galicji. U nas, chociaż z wydłubanym i tutaj i owdzie ustępem, niby wielkanocne ciasto o wygrzebanych przez niesmacznego smaczka niektórych smaczniejszych rodzynkach, „Marva Magdalena“ tworzy pomiędzy książkami sensacyję, z jednej strony obłożona „Wierną rzeką“ Żeromskiego, z drugiej „Niebezpiecznymi związkami“ Lacroś'a.

Gustaw Daniłowski, należący do najgłośniejszych pisarzy polskich młodego pokolenia, w ostatniej swojej powieści zapragnął poruszyć niepospolicie głębokie zagadnienia duszy ludzkiej, rzucił więc przed naszę oczy istotę namiętną, drgającą zdrowiem i pełnią życia, a wystawioną na najcięższe doświadczenia, na tytaniczną walkę z własną naturą w imię osiągnięcia uwielbionego ideału. Daniłowski maluje kobietę potężnych pragnień, kobietę, która oddaje bez zastrzeżeń wszystko za otrzymanie wszystkiego; kobietę, która jest samym płomieniem miłości, płomieniem, nagle zastanowionym w oblizu zagadki, zagadki pokochanej; płomieniem, spalającym się w przerażającej, nieosiągalnej tęsknocie miłosnej, a więc w rozpacz, nie w rozkoszy; kobietę, którą zdobywa niedostępne ekstatyczną potęgą pragnienia; która pragnieniem serca, krwi, ciała i kości urzeczywistnia swoje palące marzenie; której wzruszenie, potężniejsze od niej samej, rozsądza ją, i druzgocze, i zabija.

To wspaniałe przeżycie człowieka Daniłowski przedstawił na tle pięknego południowego krajobrazu i w związku z jedną z najpamiętniejszych epok ludzkości, ba! w związku z legendarnie-historycznymi bohaterami tej epoki, więcej! w związku z postacią Boga, który zstąpił na tę zażawioną naszą ziemię, zstąpił w aureoli prostoty uczyć ludzi szczęścia.

Tak wygląda dzieło Gustawa Daniłowskiego w najkrótszym streszczeniu, dzieło, przez Daniłowskiego zamierzone. Bo dzieło wykonane nie przedstawia kształtu artystycznie skończonego. Jest to dzieło, zbudowane nie ze złota, ale z nieoczyśczonej rudy, w której tkwi złoto. Słachetny materyał nie został oddzielony, nie został wytopiony z szarej grudy, to też dzieło dało się odrobić tylko ułomnie i nie zachwyca ani blaskiem, bijącym na przeczność niby powierzchnię, jakby z głębi własnej duszy, ani nie olśniewa czystością linii.

Pierwszą część książki zajmuje opis zmysłowości i lubieży Maryi Magdaleny. Wszelkiego rodzaju rozkosze cielesne są tu opowiedziane kompetentnie i sumiennie; ale język, którym się opowiada o tych gorących falach namiętnego pożądania i ekstatycznych upoień, nie pulsuje przyśpieszonym rytmem, nie faluje zgodnie ze skróconym taktem serca, nie zarumienia się purpurą despotycznej żądzy, nie pieni się, jak wrzące źródło, i nie zacicha w omdleniu, jak wyczerpana kobieta. Oto przywara, która rzuciła mi się w oczy pierwsza przy czytaniu ostatniej powieści Daniłowskiego. Ta część „Maryi Magdaleny“ powinna być śpiewem, powinna być pieśnią nad pieśniami zmysłów, zmysłów, urzeczywistniających swoją żarliwą tęsknotę.

Albo inaczej..

Cała książka o Maryi Magdalenie powinna być pod względem stylistycznym zbudowana z jednakowych, równych, zimnych-niby kafli, ułożonych taksamo harmonijnie wówczas, gdy toczy się opowieść o wybuchu namiętności, jak i wówczas, kiedy mowa o spokoju duszy bohaterki. Z pośród dzisiejszych pisarzy ten styl reprezentuje głównie Anatol France i Henri de Regnier. O ich stylu można by powiedzieć, że jest gładki, jak biały marmur prostej kolumny greckiej, w której się przegląda uśmiech słońca.

Daniłowski zdaje się zgola nie dbać o styl w swojej powieści. Nie raz do tego stopnia zapomina o języku, że aż zastanawia. Odsłaniając okładkę „Maryi Magdaleny“, sądziłem, że pewnie spotkam język, poczęty z ducha języka „Canticum canticorum“ i „Apokalipsy“. Nic z tego. Piękne stylistycznie cytaty biblijne znajdowałem między powieściowymi zdaniami, jak drogie kamienie między brukowcami. Nieomal na każdej stronicy czytelnik się potyka o taki określnik: „...zasnęła *momentalnie*“... (str. 312), albo: „...I poczyniła jej się wydawać istotnie, że to, czego jest świadkiem, jest czemś *iluzorycznym, nierealnym*, jakgdyby *optycznym złudzeniem*“ (str. 277), albo o tunice, rzuconej w ogień: „...splonęła w *momencie* jęzorem jasnego ognia“ (str. 310); albo: „W wątle światło bieląca jeno uśpiona, piękna twarz, o *czemś niezwykle śniło* z loków falujących włosów występujące czoło“ (str. 174). Na str. 147 czytamy: „*Minęli mdlejącym głosem* świegocącą ptaszarnię“... Albo na 306: „(Magdalena) odskoczyła, zadygotała, jak liść, i raptownym odruchem zanurzyła wszystko (srebrniki) w wodę — zapieniała się i pociągnęła na moment krwią“. Kto się zapienił: Marya Magdalena, czy woda? Rozdział VI powieści zaczyna się od zaznaczenia, że „główny pisarz Synhedryonu i znakomity sofer, Emaus, *zdawał sprawozdanie*“.

Drugą zasadniczą przywarą ostatniej powieści autora „Jaskółki“ jest jego niestanowczo określony stosunek do głównego nietytułowego bohatera „Maryi Magdaleny“, do Chrystusa. Daniłowski nie zna swojego Chrystusa. Więc i dla nas Chrystus Daniłowskiego jest postacią niejasną. Daniłowski narazie zdaje się w Chrystusie widzieć niezwykłego męża, reformatora i może geniusza, a gdy nam takiego zamierza pokazać, pokazuje go nam bardzo niewyraźnie, tak, że zamiast potężnej w swojej prostocie, seraficznej postaci Głosiiciela religii miłości, oglądamy sofistę, a później, w chwili wskrzeszania Łazarza, autor dość niezręcznie rzuca na sprawiającego cuda czarny cień podejrzenia o szarlataneryę. Daniłowski nie umiał nas zachwycić tym pięknym młodzieńcem, który przynosił ludziom nie-



Carlo Dolci. Św. Magdalena.

śmiertelność duszy i zmartwychwstanie ciała; nie potrafił roztoczyć wokoło jego głowy świetlanej aureoli boskości; nie zdołał przepoić tej białej, jak śnieg, postaci płomieniem najżarliwszego serca, jakie posiadała ludzkość, słońcem tak przejmującej dobroci, że na ten widok umilkł, i do dzisiaj milknie wszelki człowieczy głos, usycha na wardze w poczuciu swojej marności nawet ekstatyczny wyraz uwielbienia. A nie uczyniwszy Mistrza geniuszem serca, żywym wśród rzeszy aniołem, Daniłowski musiał chybić dzieła artystycznego, w którym pragnął odmalować dramatyczny konflikt bujnych ludzkich zmysłów z nowym, ascetycznym, bądź co bądź, ideałem rozpraszania tęsknoty za osobistym szczęściem w tęsknocie za szczęściem wszystkich ludzi.

Daniłowski przytacza słynną scenę przyprowadzenia jawnogrzesznicy, Maryi Magdaleny, przed Chrystusa. Daniłowski pojął wspaniałe piękno tej sceny biblijnej, tej sceny, ciężarnej piorunami grozy, i niemal jednocześnie najblękitniejszej, napogodniejszej zpośród scen wszystkich dramatów, wyrzniętych w pamięci człowieka. To też Daniłowski rozumnie uczynił z tej sceny rozstajny punkt powieści.

Oto ciżba ludzi o iskrzących oczach, o krzykliwych gardłach, o wznieśionych dłoniach z kamieniami. Między nimi stoi schwytna przez nich i przyprowadzona młoda rozkosznica, zadyszana, przerażona, w poszarpanych szatach, Marya Magdalena.

A przed nią młodzieniec jasnodługo - włosy, lazurowooki, w śnieżnobiałej sukni, spokojny, łagodny, Syn Boży.

Chwila dla jawnogrzesznicy straszna. Wartki cios śmierci wstrzymał się w niespodziewanym jakby roztargnieniu, ale za sekundę uderzyło hetery z wściekłością. Chwila okropna! Chwila ta się przeciąga...

Wtem przemawia młodzian. Powiedział jedno tylko zdanie i stał się cud. Kamienie wysunęły się z mor-

derczych dłoni i legły niewinnie w piasku, gromada przestała grozić i odeszła. „Niech rzuci na nią kamieniem, kto jest bez grzechu“ — powiedział Bóg miłosierdzia. Nieśmiertelne słowa, ustanawiające równość wszystkich ludzi, równość w ułomności.

Ocalenie wzbudza zazwyczaj naturalną wdzięczność. Lecz to niepowседневne ocalenie, którego przedmiotem była Marya Magdalena, wzbudziło w ocalonej nietylko wdzięczność — ono ją olśniło. Otóż tego stanu olśnienia, stanu, będącego punktem wyjścia przemiany duchowej Maryi Magdaleny i początkiem nowego jej życia, w powieści Daniłowskiego brak. „*Marya Magdalena*“ to powieść psychologiczna, a przecież pozbawiono ją subtelnego opisu tego zwrotnego momentu, tego bogatego, tego brzemiennego w najbardziej stanowczą zmianę losu, przeżycia tytułowej heroiny.

Dalej wypadki płyną po znanej już z Biblii drodze. Chrystus jest uwięziony, osądzony i ukrzyżowany. Marya Magdalena szaleje z bólu. Judasz, pierwszy kochanek Maryi Magdaleny, bierze ją pod swoją opiekę. Zdradził Chrystusa przez słabość charakteru, ale niebardzo żałuje tego, co się stało, ponieważ zawiódł się na Chrystusie. Inaczej sobie wyobrażał przyjsie królestwa niebieskiego na ziemię, bardziej materialnie, niż należało. Teraz oblicza swoje skape grosze i zamierza otworzyć handelek, w którym by gospodarzyła urodziwa Marya Magdalena.

Ale Marya Magdalena, odszedłszy w nocy do grobu Mistrza, miała tam widzenie. Wraca zachwycona, powtarza słowa, którymi do niej przemówił anioł... Judasz opuszcza ręce; ogarnia go śmiertelny smutek; widzi, że Marya Magdalena nawsze jest dla niego stracona. Ten proletaryusz niefortunny doznaje ostatecznego zniechęcenia do życia wśród wiecznej nędzy, postanawia już więcej szczęścia nie próbować: odbiera sobie życie.

Ta postać najslawniejszego ze znanych w historii zdrajców nie budzi w powieści Daniłowskiego ani grozy, ani współczucia, ani litości, ani pogardy. Pochodzi to znów stąd, że jest blada, jak karty, na których ją opisano. Nieporozumienie zaś Judasza na punkcie nauki Jezusa zatracą głupota, gdy przecież autor zgóry nam oświadczył, że Judasz z Keriot, to „mowny wykreścacz, noszący w swoim wielkim rudym czerepie chaos niepospolitych myśli, a pod łataną opończą skorpioną potężnych żądź i ambitnych zamiarów, silny i bezwzględny...“ (str. 8).

A pozostali bohaterowie „Maryi Magdaleny“ są taksamo wycinankami z papieru. Mucyusz, patrycyusz rzymski, Pilat, członkowie Synhedryonu, Piotr, Paweł?.. W żyłach tych wszystkich postaci płynie biała krew literatury. Żadna z tych figur nie

jest przez autora przeżyta, w żadną z nich autor się nie wczuł, żadnej do głębi nie przemyślał.

Zakończenie powieści o Maryi Magdalenie jest pomyślane świetnie i zdradza mocny pazur *d'un roman-cier de qualité*. Scena ukrzyżowania Maryi Magdaleny przypomina słynne kompozycje wizyonerskie opętańca erotyzmu, Ropsa. Ale w Ropsowską atmosferę rozgorączkowanej zmysłowości, która ma odwa-gę rozpinać swoje nietoperze skrzydła tylko po nocy, jak grzech, jak występki, Daniłowski umiał wprowadzić jedną złotą nitkę, jeden złoty promień, słoneczny, rozkoszny pier-wiastek helleńskiej radości życia.

W rozmowach zapytywano mnie kilkakrotnie, czy „Marya Magdale-na” jest książką moralną.

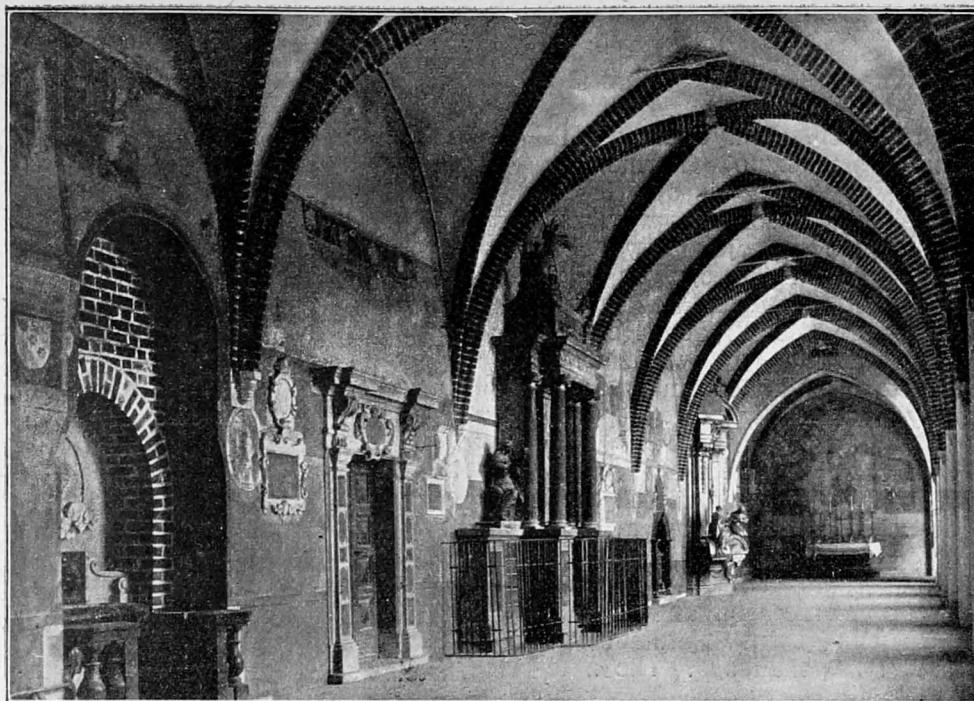
Daniłowski nie pisał swojej po-wieści dla trzecioklasistów, a ludzi pełnoletnich nie może przecież zgor-szyć cudzy, choćby najodmienniejszy, rodzaj myślenia. Na cudzy ar-gument odpowiada się własnym za-stanowieniem, zastanowienie zaś ni-komu jeszcze nie przyniosło szkody. Są przecież sfery, które uważają „Maryę Magdalenę” za powieść gro-zną i zasługującą na stos. Tym sfe-rom bym odrzekł, że „Marya Magda-lena”, w porównaniu z inną powie-ścią, z powieścią nie historyczną, ar-cyprzyzwoitą, z powieścią wpraw-dzie francuską i dotąd jeszcze nie spolszczoną, ale od pięćdziesięciu lat sławną w Europie, mianowicie, z romansem braci Goncourtów, zaty-tulowanym skromnie „*Madame Ger-vaisais*”, „Marya Magdalena” jest książką niewinną. A przecież „Ma-dame Gervaisais” nie uległa konfis-kacie i z pewnością konfiskacie nie u-legnie u nas, jeżeli ją Boy, Rogowicz, albo Miriam przełoży na język pol-ski.

Zaiste, nie jest to prosty przy-padek, że przy czytaniu „Maryi Ma-gdaleny” przyszła mi na myśl „Ma-dame Gervaisais”. Stosunek arcy-dziela Goncourtów do ostatniej po-wieści Daniłowskiego możnaby wy-razić stosunkiem szeptu do krzyku. I możnaby się zdumieć tej przewa-dze siły, jaką czasami posiada cichy szept nad krzykiem.

Wacław Grubiński.



G. Daniłowski (x) z W. Grubińskim na Lido.
Fot. amat. Jana Smoltryckiego.



Odnowione krużganki Franciszkańskie w Krakowie.

Jak ocalała dusza starego klasztoru.

Codziennie przechodzę mimo ol-brzymiej szarej masy murów, uwień-czonych wstęgą plantów krakow-skich, i codziennie mijam je przyjaznym spojrzeniem, które chwytą w przelo-cie ich niewysłowiony czar: to klasz-tor „na gródku”, w historycznym miejscu, gdzie Łokietek dosięgnął buntowniczego wójta Alberta i zadał pierwszy cios niemieckiej hydrze w Krakowie. Jest się tu w samym ser-cu miasta, o kilkanaście zaledwie kro-ków od Rynku i Sukiennic. Ruch uli-czny, na jaki się Kraków może zdo-być, dochodzi tu do najwyższego na-tężenia: turkoczą koła dorożek, sapią automobile, płynie w jedną i drugą stronę fala ludzka. Wśród gwaru roz-lewającego się wokół życia stoi za-wsze niemy ogromny klasztor „na gródku”, senny, uroczyście zastygły, cudownie podkreślający przepaść między żywą współczesnością i za-marłą przeszłością, która w tem kró-lewskim mieście tyle śladów po so-bie zostawiła...

Takich klasztorów ma Kraków wiele. Wszystkie są w obrębie śród-mieścia. Wszystkie opływa dokoła wir życia. Wszystkie odgrodziły się od świata, zawarły się wewnątrz sie-bie, głuche, obojętne, jakby zaśnięte w letargu.

W estetyce miasta są one czynni-kiem, którego nic nie może zastąpić i z którym mało co da się porównać. Dziś, gdy Kraków modernizuje się, będziemy coraz żywiej odczuwać pię-kno kontrastu i piękno różnorodno-ści, które wnoszą ze sobą sędziwe mury klasztorne. Ruch budowlany, posuwający się wartko naprzód, za-penia wszelkie puste przestrzenie, na których oko mogło spocząć bez nie-pokoju, podciąga wszystko pod stry-chulec czynszowego domu, tępi ogro-dy, wyzyskuje każdą wolną piędź zie-mi. Ale zatrzymać się musi u kla-

sztornego muru. Ten długi, szary mur, z za którego wiosną chylą się okwiecone drzewa i za którym rysu-je się sylweta budowli niedzisiejszej, o linii swobodnej i malowniczej, staje się poezją współczesnej ulicy, której nużącą monotonią rozrywa i ożywia. Choćby się stało na przeciwnym bie-guńce wszelkiego kultu religijnego, musi się spoglądać z miłością na te piękne anachronizmy i z wdzięczno-ścią myśleć o tych, którzy zostawili je potomnym. Są to klejnoty Krako-wa, nie tylko cenne, ale i niezwykle trwałe. Może wandalizm współcze-sny przerabiać stare pałace na Waa-renhauzy, może z patrycyuszowskich odwiecznych domów czynić latarnie sklepowe o lustrzanych szybach, lecz przed bramą klasztorną musi się co-fnąć. Tych jedynych progów nie mo-że przekroczyć utylitaryzm.

Zagrozić mogłaby im tylko jedna rzecz: nieumiejętna restauracja. Sę-dziwe budowle są obliczone na długie stulecia, jednak nie da się uniknąć w nich różnych odnowień i zastosowań do zmieniających się potrzeb, które i tu sięgają. Wobec mnogości kla-sztorów krakowskich sztuka restau-racyjna, tak młoda jeszcze i niezupeł-nie ustalona, stoi przed zadaniem nie-zmiennie odpowiedzialnym. Pytanie: jak restaurować zabytki architektury, aby nie uronić z nich nic, co cennego zostawiła nam przeszłość, aby nie wyrządzić mimowolnych szkód, któ-rych nigdy już potem nie możnaby było powetować, to pytanie jest dla kultury ogromnej wagi i musi być w każdym poszczególnym wypadku rozważane z największą skrupulatno-ścią. Dusza starej budowli żyje nie w samej tylko konstrukcji. Ona tkwi w niepozornych a szarmonizowanych ze sobą drobiazgach, kryje się w nie-użytecznej dziś przybudówce, zataiła się może pod warstwą tynku, jako za-

Z klasztoru Franciszkanów w Krakowie.



Biskup Fran. Krasiński.



Biskup: Andrzej Załuski.

pomniane malowidło. Może ulecieć, gdy dotknie jej dłoń niedość ostrożna.

Restauracja—to wiedza, artyzm i miłość, związane solidarnie do wspólnej pracy. Znakomity przykład tego skojarzenia, nie zawsze dającego się osiągnąć, stworzył Kraków w ukończonej świeżo, wzorowej i pod każdym względem doskonałej restauracji klasztoru Franciszkanów. Klasztor, należący do jednego z najstarszych zakonów w Krakowie, jest typowym okazem długiego nawarstwienia stuleci. Nie powstał według szerokiego planu; budowały go stopniowo czas i potrzeba, skutkiem czego ukształtował się kompleks budowli, zarysowany z oryginalną i zajmującą swobodą. Podobną genezę ma i kościół klasztorny, od którego zaczęto restaurację, a który nabrał rozgłosu w całej Polsce, dzięki wspaniałej polichromii Wyspiańskiego i jego potężnym i przepięknym witrażom.

Klasztor słynął z krużganków. Olbrzymi czworobok, sięgający czasem swego powstania w koniec wieku XIV, pamiętny ucztami, które się tu odbywały z udziałem królowej Jadwigi, podupadły i zaniedbany, przedstawiał dla restauracji pole szerokie i wdzięczne. Przypadkowa okoliczność uczyniła z niego ciekawą galerię. Klasztor znajduje się w najbliższym sąsiedztwie pałacu biskupiego, i to nasunęło zakonnikom myśl gromadzenia u siebie portretów biskupów krakowskich, których — w ciągu lat 400 — zebrało się 28. Zawieszano je kolejno w krużgankach, gdzie z czasem, dzieląc los całego klasztoru, uległy opu-

szczeniu i ruinie. Z chwilą przystąpienia do restauracji, musiały być usunięte, wraz ze wszystkim, co zakrywało ściany, i wówczas natrafiono na głębszy pokład kultury zakonnej, na ślady fresków na murze, częściowo zasłoniętych wapnem. Portrety, malowane na drzewie lub na płótnie, tworzą już przez samą następcość swego powstawania zbiór nadercenny (najwcześniejsze należą do w. XVI), a przy bliższym zbadaniu okazały się także artystycznie dziełami niepośledniej lub nawet wybitnej wartości. Do takich należą portrety biskupów Tomickiego, Trzebieckiego, Gamrata, Lipskiego, Denhoffa, Myszkowskiego, Krasińskiego, Załuskiego. Siła wyrazu świadczy o ich bezpośredniości, o malowaniu z żywego modelu. Odnowienie ich wzięło w swe rece Towarzystwo krakowskie opieki nad zabytkami, przywracając im blask zarty. Pracą nierównie cięższą, ale i donioślejszą, było odnowienie fresków, ukrytych dotąd pod wapnem i tynkiem lub pod zawieszonymi na ścianach portretami, więc stanowiących prawdziwą zdobycz. Znalazły się tu portrety dawniejszych biskupów, schematyczne, malowane z pamięci, i szereg kompozycji figuralnych, w których wdzięk naiwnej prostoty kojarzy się z niewątpliwym, nieraz wysokim artyzmem.

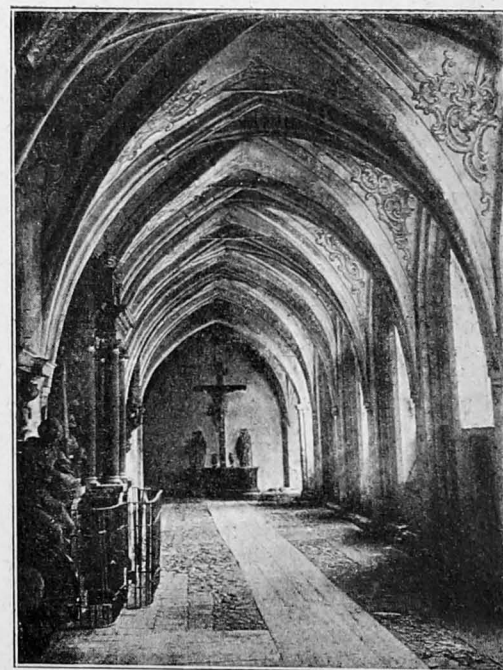
Odnowienia fresków dokonał w sposób świetny największy w Polsce znawca tej trudnej sztuki, Juliusz Makarewicz, a troskliwość i przezorność, towarzyszące tej pracy, stały w odpowiednim stosunku do pietyzmu, z

jakim przeprowadzono całą restaurację klasztoru. Krużganki Franciszkańskie, ten drogocenny klejnot starożytności Krakowa, odzyskały swój dawny przepych. Przytykająca do nich obszerna „kaplica włoska“, zdobna stiukami Baltazara Fontany, zaniedbana do niedawna, a dziś odnowiona, służy, jako muzeum klasztorne, w którym znalazła pomieszczenie galeria portretów biskupich. Cała restauracja rozpoczęta została pod kierunkiem prof. Jana Zubrzyckiego, do końca doprowadził ją utalentowany architekt krakowski, Fr. Maczyński. Należy także ze czcią zapisać imię zanego gwardyana zakonu Franciszkanów, O. Aloizego Karwackiego, który cudownie mnożył szczupłe fundusze, aby wielką rzecz uskutecznić, który w nienokalanie pięknej szacie przywrócił Krakowowi jeden z najcenniejszych jego zabytków i który rozumiał, że dla tego dzieła trzeba było pozyskać niepospolicie subtelnych artystów, aby nie uleciała dusza ze starożytności klasztoru...

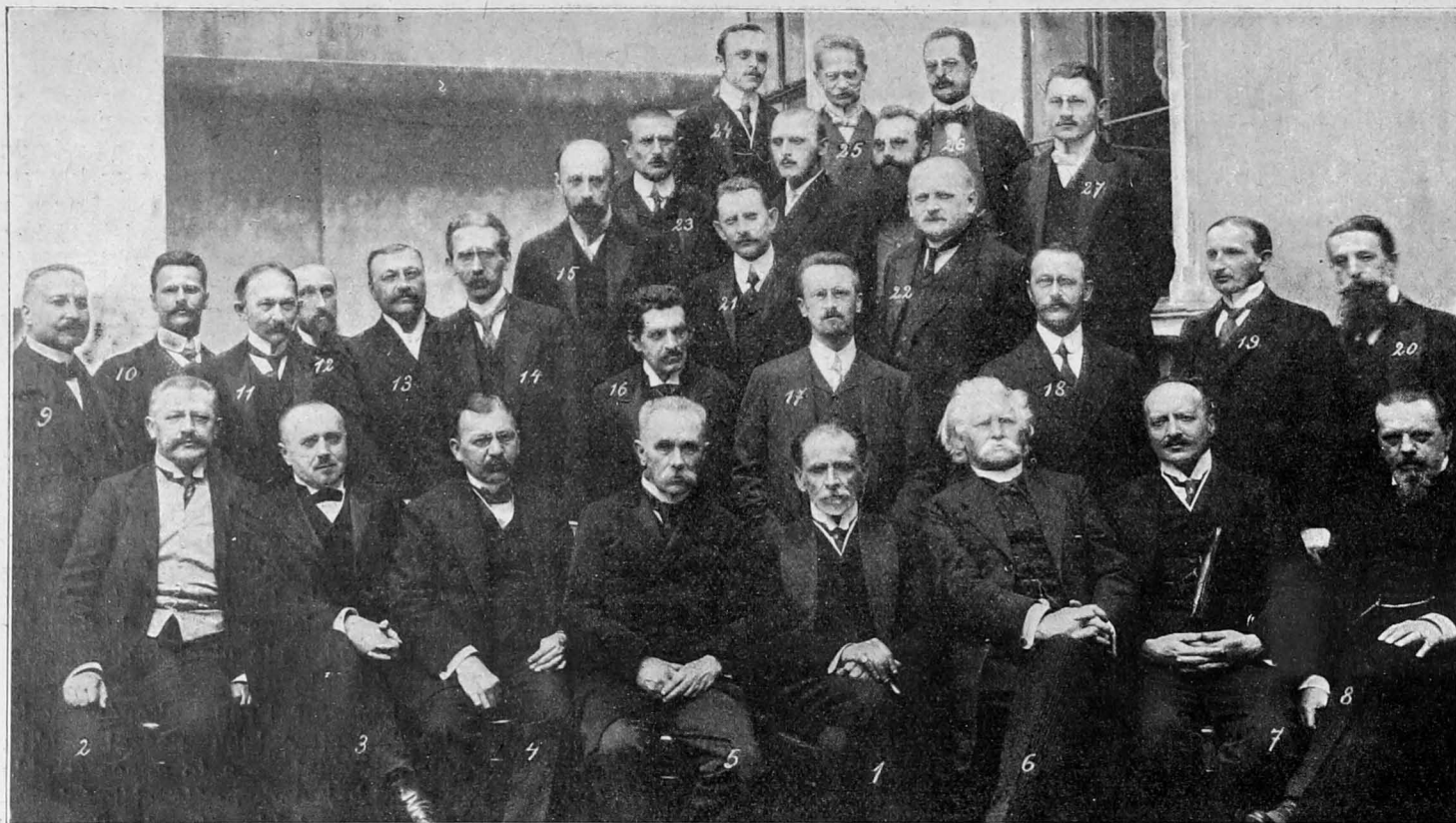
Klasztor Franciszkanów w Krakowie jest chlubą naszej sztuki restauracyjnej — a to znaczy: chlubą naszej kultury wogóle. Nigdzie może bowiem w takim stopniu nie uwidacznia się subtelność ręki, jak w zetknięciu się z czcigodnymi okruciami niekna, jakie zostawiła nam przeszłość, i nigdzie tak dobitnie, jak tu, nie manifestuje się barbarzyństwo, choćby po wierzchu najbardziej cywilizowane. Gdy patrzę na mury Franciszkańskie w Krakowie, w których tak szczęśliwie utrwalono ich wdzięk odwieczny, przypomina mi się prawem kontrastu inne, głośniejsze dzieło restauracyjne: zmodernizowany, umundurowany nanowo, błyszczący Malborg, z którego wprowadzić musiały uciec w popłochu cienie mistrzów i komturów, ale w którym zato czuje się znakomicie ich niespokojna współczesna kopia, szef domu Hohenzollern.

Kraków.

Clarus.



Krużganki w klasztorze Franciszkanów.



1. Prezes Adam Krechowicki, 2. dr. Aleks. Vogel, 3. Michał Rolle, 4. Aleks. Miński, 5. Poseł Merunowicz, 6. Fr. Rawita-Gawroński, 7. dr. Witold Lewicki, 8. Tadeusz Czapelski, 9. Bolesław Lewicki, 10. W. Szenderowicz, 11. Wł. Zawadzki, 12. Br. Laskownicki, 13. J. K. Zieliński, 14. Wł. Prokiesz, 15. Al. Karcz, 16. Adam Krajewski, 17. H. Cepnik, 18. L. Szenderowicz, 19. dr. Grek, 20. Kaźm. Czapelski, 21. A. Lech, 22. Edm. Kolbuszowski, 23. Stanisławski, 24. Artur Schröder, 25. Wacław Masłowski, 26. dr. Michałewski, 27. M. Wasowicz.

Ze stolicy nadnewskiej.

Kartki ulotne.

...Są na świecie umysły szczęśliwe. Kilka ogólników z zakresu umiejętności, zwanych ścisłymi, obnoszonych przez młodzież postępową przed półwiekiem, kilka zasad, owianych urokiem młodzieńczości liberalizmu, a wszystkie zagadnienia życia społecznego rozwiązują się bez trudności, wszystkie sprzeczności nikną, robi się jasność taka, że, gdyby nie zdawała się pochodzić z braku treści, dawnoby pławili się w niej wszyscy, jak pławią się owe umysły wyjątkowe. Należy do nich bezsprzecznie prof. Baudouin de Courtenay, zasłużenie wsławiony na polu językoznawstwa, a wsławiający się jeszcze odczytami i broszurami, poruszającymi najzawilsze sprawy społeczne. Ma prostotę niemal tolstojowską w rozumowaniach i poglądach, a godzi się nawet ze starcem z Jasnej Polany w niektórych wynikach. Ta sama metoda, ta sama logika, ta sama bezwzględność u obu, jakkolwiek różniami zdają się iść drogami. Ostatnio zabrał się profesor do sprawy tak zwanego bojkotu żydów w Królestwie. Ujrzał w tym kraju dwie narodowości odrębne, niezbyt sobie przychylnie. Poco? Wszak mogłoby nie być żadnej, nie tylko nad Wisłą, ale w ogólności na świecie! Żyliby poprostu i umierali ludzie. Narodowość bowiem, według pewnej teorii z przed półwieku, jest czemś w rodzaju brodawek piersiowych u mężczyzn, pozostałością z czasów barbarzyńskich czy przedbarbarzyńskich, kiedy ludzie żyli w gromadach, jak dzikie psy równin australijskich, a gromady żarły się ze sobą przy każdym spotkaniu. Objawami szczątkowymi są także zrzeszenia wyznaniowe,

religia bowiem, znowu według pewnej teorii ewolucyjnej, jest dzieckiem lęków i sennych widzeń człowieka pierwotnego. Trzeba tedy unieść się wzwyż, odrodzić się u źródeł beznarodowości i bezwyznaniowości, jeżeli zaś ogół do tego nie dojrzał, niech przynajmniej wszyscy polacy nauczą się żargonu, a żydzi polszczyzny, i niech będzie tak, by nikt nie domyślił się, kogo ma przed sobą, polaka czy żyda. Takie to przecie łatwe, zrozumiałe, rozsądne, proste, wyraźne i... naukowe. Tak mówił szanowny profesor, i żadna potęga mu nie udowodni, że nie miał słuszności, bo poczucie beznarodowości jest także swego rodzaju patriotyzmem, w bezwyznaniowości zaś tkwi fanatyzm swoisty, a jeden i drugi to mury, o które, jak groch, odbija się wszelki dowód...

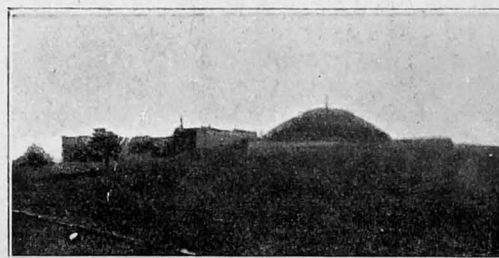
...Ustały, jak na komendę, demonstracje pseudosłowiańskie. Wystarczyło parę okólników policyjnych, by ogień słomiany stłumić. Odbywają się jeszcze biesiady, ale niema już nawet przewodniczących o wybitniejszych imionach. Niestrudzeni mówcy powtarzają jeszcze przy kielichach, że Skutari należy się Czarnogórze, a Sylistryi Rumunii nie dostanie, choć wiedzą doskonale, że już król Mikołaj rzekł się zamiaru objęcia w posiadanie albańskiego miasta, i że konferencja tutejsza posłów wielkich mocarstw Sylistryę Rumunii oddała. Można sobie wyobrazić, jaką wiarą płoną serca tych mówców, jaką szczerością tchną ich uczucia „braterskie”. Od początku zresztą nie szło im bynajmniej o słowian, którzy, jako zwycięzcy, żadnej pomocy nie potrzebowali, ale o coś innego. Że tak było, świadczą mowy z przed kilku tygodni, wyrażające obawę, że Bułgaria zdobędzie Konstantynopol i że w ten sposób prysną nazawsze sny o potęgę

Katarzyny II; świadczą dziś nieukrywane lęki o przyszły układ stosunków na Bałkanie, o los wpływów z północy, które osłabnąć, a nawet ustać mogą w wielkich już dziś krajach samoistnych, zdolnych pielęgnować własną kulturę narodową i nie zapożyczać się od potężnych „braci”. *Da lag der Hund begraben*, i tu wciąż leży to biedne stworzenie, nad którym biesiadnicy petersburscy zawodzą tak minorowo. Leży zresztą także w Królestwie, obdarzonem oto przez Radę Państwa samorządem miejskim, z którego mowę polską wyrugowano tak bezwzględnie może właśnie dlatego, że odtąd w Adrianopolu rozbrzmiewać będzie bułgarska, a w Prizrenie i Iskiubie serbska, i prawdopodobnie nazawsze. Niechże przynajmniej w Jędrzejowie i Przasnyszu nie brzmi w radach miejskich „seperatystyczny” język polski, pomyślał sobie przewodniczący do niedawna biesiadom słowiańskim p. Hurko, i pomyśl ten pozyskał głosy większości izby, o której najgorętszych uczuciach braterskich dla słowian nikt chyba na chwilę odtąd nie zwątpi...

Petersburg.

Bh. K.

Wielki Kraków.



Kopiec Krakusa, „przyłączony” do Krakowa wraz z Podgórzem.

Zatarg między Austrią a Czarnogórzem.



Mapa Albanii i Czarnogórze.



1. Kattaro z górą Łowczen. 2. Wojsko austriackie w pogotowiu na granicy Czarnogórze.



Essad-basza, obrońca Skutari.

Suфраżystki.

Jednym z najciekawszych zjawisk „nowego ducha czasu” jest akcja tak zwanych suфраżystek, czyli kobiet, żądających głosu przy wyborach państwowych narówni z mężczyznami. Akcja ta, jak wiadomo, przybrała ostre formy zatargów z władzami w Anglii; nigdzie atoli nie jest ona tak rozległa i tak umiejętnie zorganizowana, jak w Ameryce.

Wraz z objęciem władzy przez nowego prezydenta Stanów, Wilsona, i z racyi objęcia tej władzy, nastąpiły w Waszyngtonie, d. 3 marca r. b., manifestacje, przewyższające wszystkie dotychczasowe zabiegi emancypacyjne kobiet. W wigilię wkroczenia prezydenta do t. zw. Białego Domu odbył się pochód, „najbardziej osobliwy ze wszystkich, jakie dotychczas widzieli amerykańczanie”. Już przedtem wspaniały program ilustrowany, zawierający podobizny najwybitniejszych bojowniczek „głosu” (a są między nimi prześlizgnięte!) i porządek całej parady, został rozrzucony w setkach tysięcy egzemplarzy. Wszystko tu zostało zarządzane przedziwnie, z tem poczuciem wysokim ładu i metody, jakie cechuje rasę. Na czele pochodu postępo-

wała pani Rikarda Coke, Wielka Marszałkini, a za nią oficerowie (czy też oficerki) „Amerykańskiego Stowarzyszenia Narodowego Kobiet Suфраżystek”, z prezesową swą na czele, wielce szanowną panią Anną Howard Shaw, która posiada najwyższe stopnie uniwersyteckie. Potem defilowały te narodowości, gdzie kobieta uzyskała już prawo głosu, za niemi te, które są już blizkie uzyskania, wreszcie te, które nic jeszcze nie uzyskały. Za tem — olbrzymia kawalkada, odtwarzająca historię sprawy kobiecej i obrazująca różne dziedziny, w których odznaczyła się kobieta, od sióstr miłosierdzia na wojnie aż do mamek, od doktorów aż do adwokatów, od pisarek i profesorek aż do muzyczek i aktorek. Aktość reprezentowała panna Fola la Folette, czarująca urodą i wdziękiem.

A potem — jedna z najoryginalniejszych maskarad pochodowych. Niezli-

czone wozy i automobile, kostiumy wspaniałe, sztandary wielobarwne. A oto „brygada konna” pod przewodnictwem panny Genowefy Wimsatt, prześlizgniętego „cowboy’a” kobiecego. Co za obraz wspaniały! Kobiety amerykańskie, jak wiadomo, jeżdżą konno z równą odwagą i brawurą, jak mężczyźni. Bandery szeleściły w powietrzu, tworząc frazesy wyroczny: „głosu kobietom!” Obecność pani Taft na trybunie honorowej nadawała tej manifestacji cechy oficjalne. Pochód ten wojenny obejmował 6000 suфраżystek — i budził więcej uciechy, niż poważnego przejęcia, wśród widzów i brzydszej połowy.

Swoją drogą, jest coś osobliwego w tym nowym ruchu kobiecym. Jeżeli pewna część suфраżystek amerykańskich manifestuje jedynie dla chęci okazania pięknych kostiumów i dla pożytku kobiecej, są bezsprzecznie i takie, które z całą siłą



Brygada suфраżystek w Waszyngtonie podczas manifestacji marcowych.

na wolą pracują dla zwycięstwa swych idei. Wiele z nich, jak np., pani Belmont, matka księżnej Marlborough, należy do najwyższej arystokracji. A dodać należy, że niema upartszej istoty od amerykańki, gdy chodzi o postawienie na swoim i o dążenia do niezależności. Dziewięć stanów na trzydzieści przyznało już prawo głosu kobietom: oto rezultat ich wytrwałości czy też ich uporu. I z tem się też liczyć należy.

Tak oto kobieta amerykańska walczy dziś o swe prawa. Czy, zyskując prawa, nie straci prerogatyw, jakie ma dziś wśród mężczyzn, i czy zgodzi się na ich utratę — oto pytania, które leżą u progu nowej formy życia!

Podczas gdy amerykańki pokojowcy, malowniczymi manifestacjami zdobywają, lub chcą zdobyć dla siebie równouprawnienie, w Anglii szermierki



Pani Pankhurst.

„praw dla kobiet“ ogarnął istny szal niszczycielski. Wspaniałe ogrodzi i oranżerye, kosztowne dzieła sztuki w muzeach i galeriach, to ofiary ich emancypacyjnej walki, toczącej się pod wodzą „najenergiczniejszej“ kobiecej działaczki, pani Pankhurst. Przywódczyni odsiaduje właśnie karę więzienia za swe bohaterskie czyny; pionierki feminizmu mszczą się za jej „krzywdę“, niszcząc po muzeach stare, cenne obrazy.

ii.

„Król Hamletów”.

W liczbie kilkudziesięciu teatrów londyńskich, zgrupowanych w jednej dzielnicy, starożytny i popularny „Drury Lane“ święci obecnie tryumf olbrzymi, nie tylko kasowy, lecz i artystyczny. Odbywają się w nim bowiem gościnne występy słynnego Forbes-Robertsona, artysty z generacji, która już ustępuje ze sceny, lecz nie widzi godnych następców. Forbes-Robertson urodził się w r. 1853,



Forbes-Robertson, jako Hamlet.

debiutował, mając lat 20, w „Maryi Stuart“, zaś w latach 1880—1881 był partnerem Modrzejewskiej w Teatrze Dworskim (Court Theatre) w Londynie. Odtąd rozpoczyna się okres nieprzerwany tryumfów artysty na obu półkulach. W r. 1895 gra po raz pierwszy „Hamleta“ i zdobywa tą rolą nie tylko Anglię, lecz i wybredne Niemcy. „Hamletem“ też i „Cezarem“ ze sztuki „Cezar i Kleopatra“ Bernarda Shaw'a żegna obecnie publiczność.

Kto widział Robertsona w „Hamlecie“, nie potrafi chyba pogodzić się z inną interpretacją tej genialnej postaci, zwłaszcza z Hamletem francuzów, takiego np. Mounet-Sully lub południowców à la Salvini. Hamlet-Robertson, to ktoś niezmiernie prosty i swoisty, cichy, cierpiący człowiek, bohater, pozbawiony gwałtownych wybuchów i sugerowanej mu przez tradycję manii prześladowczej. Jako aktora, cechuje Robertsona niewypowiedziana wytworność gestów i modulacji głosu, panowanie nad całokształtem skomplikowanej jaźni królewicza duńskiego w każdej chwili, w każdym załamaniu jego przeżyć. Stąd gra dyskretna, intuicyjna, psychiczna nawskroś, operująca potencjami, którym nie daje się wyrwać nazewnaż. Jest to Hamlet współczesny, nerwowiec, ale nerwowiec-gentleman, trzymający swą grę wobec ludzi w surowych korbach woli. Trudno o większy czar zewnętrzny, jak ten, któ-

ry daje w „Hamlecie“ ustępujący ze sceny, a za życia przezwany przez współczesnych „królem wszystkich Hamletów“ — Forbes-Robertson.

Ofelię i Kleopatę gra miss Gertrude Elliott, od roku 1900 żona i stała partnerka Forbes-Robertsona, amerykańka z pochodzenia, jedna z najbardziej czarujących artystek angielskich. Znakomicie odtworza w „Hamlecie“ słynną scenę obłąkania Ofelii, wydobywając przedziwnie tragiczne nuty w śpiewkach, których uroku na żaden język nie da się przetłumaczyć.

Teatr „Drury Lane“, obliczony na kilka tysięcy osób, jeden z największych na świecie, z trudnością mieści niewidziane nawet w Londynie tłumy publiczności, która co wieczór śpieszy do jego podwoi, ażeby ujrzeć wielką parę artystów, zanim ta scenę opuści na zawsze.

Londyn.

Doł.

Z teatrów warszawskich.

Jubileusz J. Kotarbińskiego.

Zasłużony krytyk i publicysta, kierownik teatralny, który w dziejach teatru polskiego będzie posiadał niewątpliwie trwałą kartę, artysta dramatyczny wreszcie, który pięknym talentem deklamacyjnym popularyzował przez szereg lat najwznioślejsze utwory poezji polskiej. — Józef Kotarbiński obchodzi 45-letni jubileusz pracy literackiej, 35-letni — pobytu na scenie. Należy podkreślić, że w świecie zakulisowym Kotarbiński niepowszedniem był i jest zjawiskiem: wychowaniec b. Szkoły Głównej, człowiek z uniwersyteckim wykształceniem, przejęty zawsze duchem obywatelskim i wyższem poczuciem obowiązków wobec społeczeństwa... Jako publicysta i krytyk, Kotarbiński rozpoczął swą pracę w szeregach pozytywistów i hasłom ich pozostał wierny. Od długich lat wszystkie niemal poważniejsze czasopisma warszawskie zasila swem piórem (w tej liczbie i „Świat“), zaś większe studium książkowe o Wyspiańskim, p. t. „Pogrobowiec romantyzmu“, w naszym ubogim piśmiennictwie krytycznem zajmuje poczesne miejsce. Jemu też przypadł zaszczyt wprowadzenia arcydzieła Wyspiańskiego na scenę: „Wesele“ po raz pierwszy ukazało się w teatrze krakowskim za czasów jego dyrekcji. Kotarbiński wogóle i jako krytyk, i jako kierownik teatralny, chętnie udzielał poparcia młodym autorom; niejedną ze znanych dzisiaj dramaturgów polskich jemu pierwsze sukcesy zawdzięcza. Mierząc atoli wartość dzieła głównie jego pożytkiem społecznym, Kotarbiński nieraz był w rozterce z górującymi prądami w sztuce. Poddawał się im niechętnie, a własnym, trzeźwym przekonaniem dał wyraz w studium o „Niezdrowej miłości“, będącem protestem przeciw młodzieńczym wybujałościom i erotycznej swawoli.

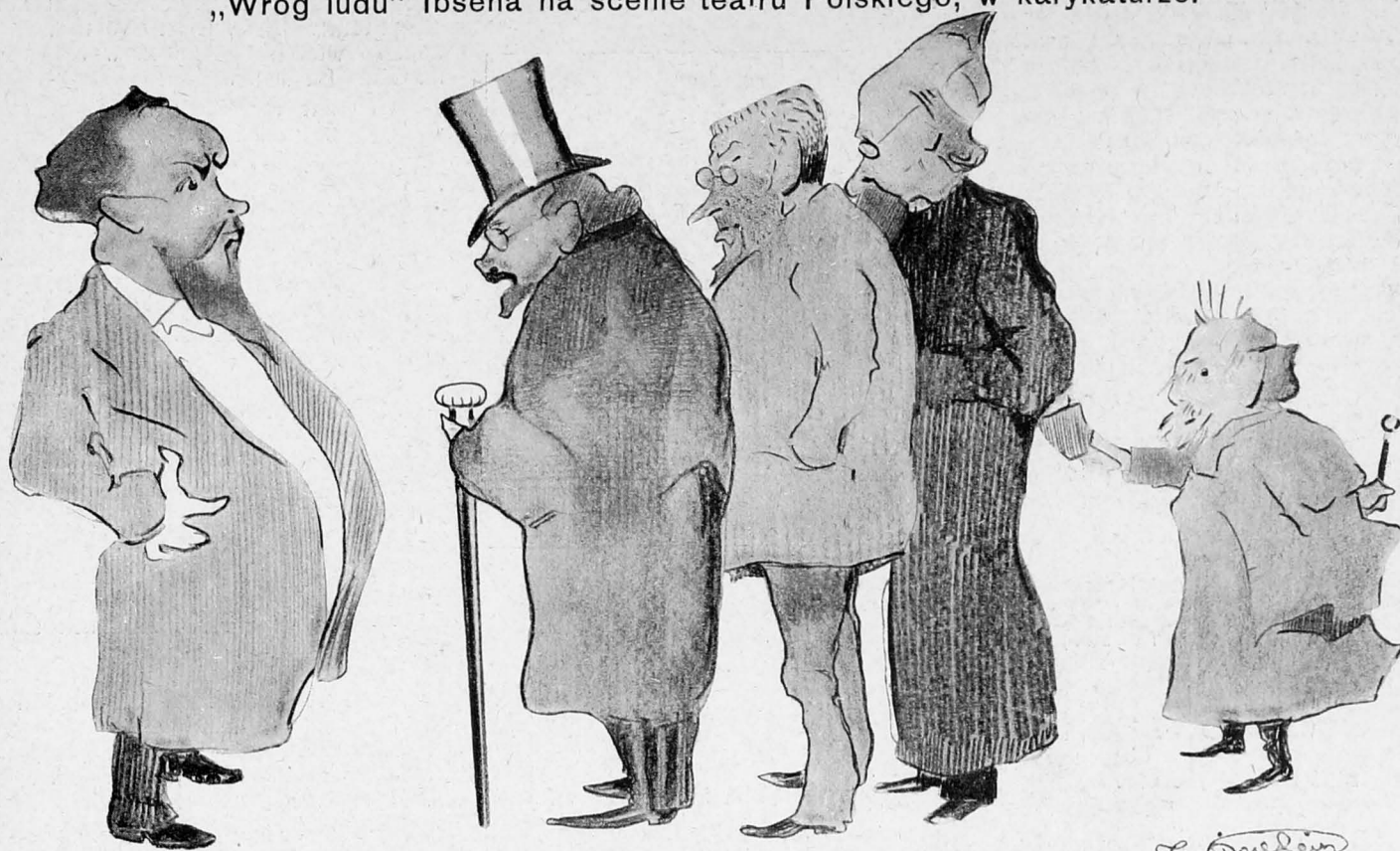
Ustąpiwszy w 1905 r. z dyrekcji teatru krakowskiego, Kotarbiński niebawem objął obowiązki doradcy



Forbes-Robertson, jako Cezar.



Gertruda Elliott, jako Kleopatra.



Pp. Zelwerowicz (Stockman), Sosnowski (burmistrz), Junosza (redaktor), Grabowski (drukarz), Zieliński (garbarz).

literackiego przy Warszawskich Teatrach Rządowych. W nieokreślonych bliżej i nieuregulowanych warunkach najlepsza wola nie zdziałać nie mogła. Jeśli ten okres w dziejach pierwszej sceny polskiej nie zaważy, z pewnością najsurowszy krytyk nie będzie obwiniał z tego powodu Kotarbińskiego. Ten tylko może być odpowiedzialnym za wyniki, kto ma właściwą władzę. Wśród bezładu, jaki od szeregu lat uczynił się normalnym stanem teatru Rozmaitości, stanowisko kierownika literackiego było niejasnym i pozbawionym należnych atrybutów.

Dobra wola, jaką okazywał zawsze, zostawi miłe wspomnienia u tych wszystkich, którzy w tym czasie z teatrem Rozmaitości mieli do czynienia. Zaś jubileuszowe przedstawienie, które odbędzie się w dniu 9 maja w Teatrze Wielkim, zgromadzi niechybnie bardzo liczne zastępy

publiczności, umiejącej ocenić rzetelne zasługi. Tem więcej, że na scenie nie ukaże się „Ojczyzna”, jedna z najefektowniejszych sztuk Wiktoryna Sardou, która dotąd ze względów cenzuralnych nie mogła być grana w Warszawie. Przedtem, w dniu 8 maja, po południu odbędzie się raut na cześć jubilata. sk.

TEATR POLSKI. „Wróg ludu”, dramat w 5-ciu aktach G. Ibsena.

Publiczność nasza zna i pamięta „Wroga ludu” z przedstawień amatorskich „Miłośników sceny”, pierwszych, jacy zapoznali u nas szerzy ogół z Ibsenem, a następnie z występów Żelazowskiego, który przed kilku laty odniósł zasłużony tryumf w głównej roli dramatu. Nie potrzeba zatem przypominać, czym jest „Wróg ludu” w działalności dramatycznej „wielkiego samotnika z Północy”, że to był moment przełomu, w którym Ibsen, rozczarowany do opinii tłumu, oburzony głosem większości, która niedawno potępiła jego „Upiory”, rzuca jej w twarz rękawicę, mówiąc przez usta bohatera dramatu: jesteś głupia, niesprawiedliwa i podła!... Sztuka więc, na tym stafażu polemicznym zbudowana, posiada momenty, gdzie akcenty oburzenia biorą górę nad istotą dramatu, przyczem nie wszystkie motywy, jakich doktor Stockman we własnej obronie, a ku moralnej porażce swych przeciwników używa, wytrzymałyby mogły krytykę *der reinen Vernunft*.

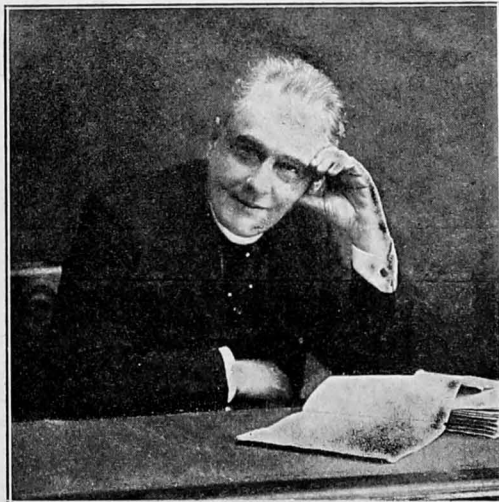
Na tem polega również trudność głównej roli, będącej od początku do końca właściwie uosobioną tylko argumentacją przeciw opinii większości. W argumentacji tej powinna

być wielka siła, a jednak miara. Ten, kto, zwyciężony przez większość, zdobywa się jednak na okrzyk: „Jestem najsilniejszym, bo jestem sam!” — powinien mieć w tej chwili gest bohatera, a jednak w geście tym odczuwać się powinna gorzkość i ból serdeczny.

P. Zelwerowicz miał chwile doskonale — czasem jednak zdawało się, że jest jakby znużonym, jakby się wahał. W akcie 4-tym, kiedy staje oko w oko z tłumem, rzucając mu w twarz swoje obelgi — z początku swej filipiki, jakgdyby się zaciął. Bardzo słusznie: dr. Stockman nie jest mówcą, nie posiada wprawy. Ale później siła przekonania ma brać górę nad brakiem techniki retora, więc argumentacja powinna nabierać coraz więcej rozmachu, wzrastać i potęgnać, jak lawina... Wtedy i wrażenie byłoby silniejszym. Efekt ten nie został dostatecznie wyzyskany. Jednakże całość roli wypadła zupełnie dobrze. Zasługa w tem również doskonałego zespołu, na który składali się pp.: Junosza, Sosnowski, Grabowski i Zieliński. Również obojętne role żeńskie, choć właściwie drugoplanowe, były jednak w dyskretnej wstrzemięźliwości wybornie do ogólnego tonu dostrojone przez p. Kozłowską (żona) i Dulębiankę (córka).

W tem doskonałym i umiejętnym przeprowadzeniu ogólnego tonu, w owej właśnie dyskrety gry, spoczywa trwałość pojęcia i ujęcia Ibsena na scenie. Zalety te, skojarzone z doskonałą, aż do najdrobniejszych szczegółów obmyślaną wystawą, złożyły się na całość, godną poważnej sceny.

A. B.



Józef Kotarbiński.



„Trybun ludu”, sztuka J. Bełcikowskiego, której główną postacią jest ks. Piotr Skarga, odegrany został siłami amatorskimi, pod dyktando p. Kotowskiego, w teatrze na ulicy Kaliksta. Tysięczny tłum z zaciekawieniem śledził dzieje, rozsłute w szeregu obrazów barwnych i dostrojonych do widowiska popularnego.

Morderstwo w parku teresińskim.

Do ciemnej i tajemniczej sprawy morderstwa ks. Lubeckiego żaden promień światła jeszcze nie przeniknął. Przeciwnie, sprawa ta skomplikowała się wtargnięciem do opieczutowanego pałacu teresińskiego tajemniczego, nocnego złodzieja, uzbrojonego we wszystkie zawodowe narzędzia włamywacza, a poszukującego przede wszystkim — papierów w biurku zamordowanego księcia. I ten gość nocny, plądrujący w nieszczęsnym pałacu, pod bokiem trzech strażników i dwóch nocnych stróżów, jest nie do odszukania.

Słynny pies policyjny warszawski, „Mucha”, obdarzony fenomenalnym węchem, sprowadzany raz po raz na miejsce przestępstw, biega ruchliwie na wsie strony, zdradzając wkońcu zupełną swą bezużyteczność.

Tymczasem aresztowano przyjaciela zamordowanego, p. Bispinga, ordynata massalańskiego. Rozwydrzona a bezkrytyczna opinia warszawska od samego początku wołała:

— On!... On!... któżby inny!... Bez żadnych danych.

Ci, którzy znali p. Bispinga, energicznie temu przeczą. W pierwszej linii arystokratyczni członkowie warszawskiego Klubu Myśliwskiego.

Jeden z najwybitniejszych naszych arystokratów mówił nam:

— Któż może zaręczyć, że najlepszy człowiek, uniesiony gniewem, zaślepiony pasją, nie posunie się nigdy do tak desperackiego aktu, jak zabójstwo! To też, choć jestem o niewinności Bispinga przekonany, nie dałbym głowy za to, iż nie był on zdolny do takiego czynu, jak palnięcie komuś w łeb z brauninga. Ale tego jestem pewny, że, gdyby takie uniesienie przyszło, takie nieszczęście spadło na tego człowieka, dowiedzielibyśmy się o tem przede wszystkim — od niego samego. Bezpośrednio po takim zabójstwie poszedłby on do naczelnika powiatu, do kancelarii oberpolicmajstra, aby rzec: „Zabiłem, proszę mnie aresztować!”

Inny człowiek z najbliższego grona ordynata massalańskiego mówił nam:

— Strzelić!... zabić!... To było w dziedzinie możliwości nawet dla tak gor-

liwego katolika, jakim był Bisping! Ale rzucić się na obalonego kulą i broczącego krwią przeciwnika, choćby najbardziej nienawistnego, i tłuc go po głowie



Fot. Fuksa. Ordynat Jan bar. Bisping.

„Warszawska kooperatywa drzewna”.

Fot. „Świt”.



Dnia 4-go maja r. b. odbył się akt poświęcenia lokalu i składów nowoorganizowanej spółki pod nazwą: „Warszawska Kooperatywa Drzewna”. Aktu poświęcenia lokalu dokonał ksiądz Puchalski, proboszcz parafii ś-go Stanisława na Woli wobec licznie zebranych udziałowców i osób zaproszonych. Za-

kantem brauninga ze zwierzęciem okrucieństwem!! Nie... Nie... W to uwierzę dopiero wtedy, gdy mi to w oczy, sam na sam, Bisping wyzna.

Ordynat massalański był, istotnie, wierzącym i nabożnym człowiekiem. Po śmierci pierwszej żony nosił się z zamiarem wstąpienia do klasztoru i gotów był ustąpić ordynację bratu. W tych zamiarach pojechał do Rzymu, gdzie spotkał się z młodą wdową po księciu Radziwiłł, również gotującą się do życia klasztornego. Te same ciosy, te same smutki, te same uczucia i te same dążenia doprowadziły dwoje tych ludzi — do nowej próby szczęścia...

Oto rys charakterystyczny: pewnego razu p. Bisping uległ wypadkowi automobilowemu; w tym wypadku obłany został benzyną, która się na nim zapaliła. Skończyło się to na poparzeniu.

Pytano potem go:

— Jakże miał wtedy wrażenia? O czym myślał?

— Począłem robić rachunek sumienia — odrzekł.

Do kroków stanowczych ten człowiek był jednak zdolny: Miał przed paru laty ulubioną sukę rasową. Pewnego razu zawołał ją. Suka nie przybiegła doń. Krzyknął na nią raz drugi i trzeci. Suka się nie poruszyła. Wtedy podszedł do niej i palnął jej w łeb.

Ordynat massalański ani w części nie był tak bogatym, jak ks. Lubecki. Dobra i domy tego ostatniego ocenione na osiem milionów rubli. P. Bisping nie miał, podobno, więcej dochodu rocznego nad 40 do 50 tysięcy rubli. Fortuną swoją kierował z pewną rzutkością, ale bez zbyt ścisłego ładu. Z ks. Lubeckim związany był wspólnymi przedsięwzięciami. Najwięcej mówią o wspólnej dostawie cementu do budujących się fortów. Ks. Lubecki cofnął się w ostatnich czasach z tej spółki, zostawiając wspólnika w kłopotach i, podobno, dość ciężkim położeniu kredytowym.

To wszystko „mówią” ci, którzy nie uważają za konieczne, ani nawet za właściwe przesądzać spraw przez sam wątpliwy dar jasnowidzenia w ciemnościach... D.

rząd kooperatywy stanowią pp.: Baum August, prezes, Jaszczołt Adam, skarbnik, i Barszczewski Jan, oraz, jako zastępcy pp.: Skrzędziewski Feliks, sekretarz, i Daab Maksymilian. Komisję rewizyjną tworzą pp.: Horn Maksymilian, Martens Maksymilian i Kreczmar Henryk.



WŁADYSŁAW GRABSKI, historyk i rol. poseł do 3-ch Dumi, prezes sekcji społecznej Tow. Pracy Społ., miał odczyty o wprowadzeniu powszechnego nauczania u nas na zasadzie nowych praw.



LUDWIK SOLISKI, znakomity artysta dramatyczny, dyrektor i kierownik teatru krakowskiego, od jesieni objął ma ster artystyczny dramatu w teatrach rządowych warszawskich.



Szef sztabu gener. austr., v. HOETZENDORF, należy do najbardziej zajętych ludzi w tej chwili. Organizuje wyprawę wojenną na Skodar przez górę Łowczan. Zdobyć nieprzystępną tę górę obliczono na 5 tygodni.

Katastrofa lotnicza.



Główna lotniczka, księżna Szachowskaja i lotnik Abramowicz. Przed niedawnym czasem oboje lotnicy spadli z dość znacznej wysokości na polu lotniczym Johannisthal pod Berlinem, przy czym Abramowicz, odniosszy ciężkie porażenia, zmarł niebawem, księżna wyszła z wypadku, poniosszy mniejsze tylko obrażenia.



Najważniejsze wypadki minionego tygodnia.

SPRAWY POLITYCZNE.

Najważniejszy fakt tygodnia: Essad ogłosił się królem albańskim po porozumieniu z królem Mikołajem, któremu wydał Skodar dla dokonania tej swojej kombinacji.

Turcyja niezadowolona z Essada. Nie chce jego kombinacji: Albanii wa-

salnej z Essadem na tronie. Nakazuje mu odesłać wojska do Turcyi.

Ambaras dyplomacji europejskiej dosięgnął szczytu. Zwleka ona swoim zwyczajem.

Austria ogłosiła stan wojenny w Bośni i Hercegowinie. Sztab opracował walkę z czarnogórcami.

Rosya doradza Czarnogórczom posłuszeństwo dla londyńskiej konferencji ambasadorskiej. Wrazie posłuszeństwa, podtrzyma króla Mikołaja w dążeniach do odszkodowania.

Czarnogórze ustępuje. Król Mikołaj oświadczył, że gotów jest, pod pewnymi warunkami oddać Skodar. Czy warunki przyjmie Austria?

Z NAD NEWY.

Sniesarew ogłasza, że Suworinowie brali częste i wysokie opłaty za różne artykuły w „Nowoj Wremia”.

O dymisji niedalekiej ministra oświaty, Kasso, mówią głośno.

Nagrodzenie Wittego wysokim orderem zwróciło nań powszechną uwagę. Mówią, że ma być ministrem spraw zagranicznych.

SPRAWY SPOŁECZNE.

„Włókno”, pierwsza warszawska polska hurtownia towarów włóknistych, powstała z kapitałem 600.000 rb.

Pierwsze kasy chorych, za przykładem firmy Orgelbrandów, powstały w Warszawie, korzystając z nowego prawa.

Wystawę Mody postanowiono urządzić w Warszawie jeszcze tej jesieni.

Zjazd kobiet polskich w sprawach wychowawczych zacznie się w Krakowie 10-go b. m.

NASZE SPRAWY.

Sesja sejmiku galicyjskiego została zamknięta.

O nauczaniu powszechnym wedle nowego prawa miał odczyt p. Władysław Grabski w Warszawie. Najdalej ta sprawa posunięta jest w gubernii płockiej.

Do rady miejskiej w Chicago polacy przeprowadzili po raz pierwszy swego kandydata, p. Stanisława Kunza. Dwu innym polskim kandydatom brakło ledwie po kilkanaście głosów.

Wielki skandal: wykryto szpiegów w samym zarządzie Komisji stronnictwa niepodległościowych. Ci mieli listę osób z Królestwa, wciągniętych do tej akcji.

LITERATURA I SZTUKA.

Na dorocznym uroczystym posiedzeniu Akademii Krakowskiej prof. Balzer odczytał pracę o „Unii Horodelskiej”.

Nagrodzonymi zostali w tym roku przez Akademię Krakowską: Kleiner, Wiess, Biegański, Olszewski, Rostafiński, Kolankowski, Zaremba i Sierpiński.

50-io lecie pracy literackiej Stanisława Tarnowskiego przypada w tym roku.

Obchód jubileuszu 45-cio letniej pracy naukowej prof. Tretiaka odbył się w auli Uniwersytetu Jagiellońskiego.

12-te wydanie „Gasnącego Słońca”, znanej powieści Jeske-Choińskiego, wyszło po niemiecku.

Katedrę uniwersytecką do nauki o dobroczynności założono w Chicago. Nowość zupełna.

Komitet międzynarodowy artystyczno-literacki w Paryżu powołał do swego grona malarza polskiego, Józefa Męciny Krzesza.

Birnbaum dyrygował w Paryżu orkiestrą, złożoną z 600 osób. Grano Beethovena. Powodzenie miało owacyjne.

Lekarze polscy, zaproszeni na zjazd w Gandawie, pragną utworzenia sekcji polskiej osobnej, jak to było na zjeździe amsterdamskim.

WEŁNY KOSTYUMOWE
CREPPONY
JEDWABIE, AKSAMITY,
OSTATNIE NOWOŚCI WIOSENNE

BIELIZNA
damska, stołowa i pościelowa
CHUSTKI do nosa, RĘCZNIKI,

Wyprawy od 100 do 5000 rb.

TARNOWSKI &
TOMASZEWSKI

MARSZAŁKOWSKA № 133 róg Ś-to Krzyżkiej.



Przedstawiciel F. Jankowski.

Czytajcie „MIESIĄC ILUSTROWANY”! Treść aktualna i zajmująca. Liczne ilustracje. Żądać w księgarniach. Redakcja Wspólna № 45. Zeszyt kop. 60.

EGZYSTUJĄCA od 1860 r.

FABRYKA KAPELUSZY SŁOMKOWYCH I FILCOWYCH **M. RECZYŃSKI**

Skład główny Przejazd № 11. Filja Marszałkowska № 152.

Poleca ostatnie nowości w damskich, męzkich i dzieciennych fasonach.



L. German, wice-prezes Koła. W. Kozłowski, szef podol. Stapiński. Witold Korytowski. Adolf Gros, poseł krakowski.

Humor i Satyra.

Z ubiegłego miesiąca.

Prima Aprilis, kwietniowy dzień,
Jak co rok, stanął u startu;
Człękpragnął dowieść wśród różnych łżeń,
Że kłamie tylko dla żartu.
Niejeden figlarz, z tej mody rad,
Urządzał bliżnim kawały —
Poco dzień kłamstwa, gdy cały świat
Kże przez okrągły rok cały!

Kłamie polityk i stanu mąż,
Kłamie poeta natchniony;
Kłamie szewc, bankier kłamie też wciąż,
Kłamią mężowie i żony.
Każdy się z kłamstwem codziennem zrósł,
Świat tonie w kłamstwa nawale,
Gdyby nie ono, ludzkości wóz
Z miejsca nie ruszyłby wcale.

A tak się rusza przez światła łąd,
Choć wyboistym mknie torem,
Kłamstwo jest przeto — widzimy stąd —
Dość ważnym życia motorem.
Więc nie wnikajmy zbyt w rzeczy treść,
Precz narzekania i płacz! —
Nie mają bowiem często co jeść
Skier prawdy poszukiwacze.

W bałkańskim kotle ogień wciąż wre,
Bigos światowy się warzy,
I nie panowie nim karmią się,
Lecz czterech sprytnych kucharzy.
Austria bardzo pragnie tam wleźć,
Bo pełna nęci ją misa,
Ale jej ciągle — pal że to sześć! —
Łyżka w powietrzu zawisa.

Śmieje się w kułak Nikita król,
Po przelewaniu krwi szczerem,
Austrii możnej wstyd, srom i ból
Sprawił kawałem ze Skodrem.
Austria klnie się, że pójdzie w bój,
Bo cierpieć dłużej nie w stanie,
Ale, pomimo not groźnych zwój,
Znów pewnie finę dostanie.

Myśmy dostali z nad newskich fal
Też finę, teraz nielada:
Samorząd odszedł hen, w mglistą dal
I w chmurach gdzieś tam przepada.
Miał to być dla nas dziś „złoty róg“
Po wydzielonej Chełmszczyźnie,
Lecz trzeba stwierdzić, że i nasz wnuk
Smaku z onego nie liźnie.

Zato panstwowian nad Newą ród,
Pijąc od czasu do czasu,
Że Adrianopol zdobyty gród,
Narobił wiele hałasu.

„Hurra!“ — grzmiał ciągle do straty tchu
Bobryński, ulów tych pszczelnik,
Aż musiał gębę zamykać mu
Nadnewski gradonaczelnik.

Bułgaria, którą niewiele wprzód
Znano z czytania i z książki,
Tak sławna, że dziś szczytem są mód
Bułgarskie barwy na wstążki.
Gdy dalej będzie ten rozgłos szedł,
To jest dość pewna speranda,
Że wdzięku szczytem stanie się wnet
Sążnisty nos Ferdynanda.

Świeżych sensacy u nas wciąż tów,
Nie brak drażliwych tematów:
Hrabia Ronikier powrócił znów
Do pawiakowych penatów.
Ledwieśmy ową stawili wieść,
Nie upłynęło tygodnia,
Nową sensacyę możemy jeść:
Jest Teresińska nią zbrodnia.
Morderstwo księcia zrobiło szum,
Wsie poruszyło i miasta,
Gazety chciwie chwytają dziś tłum
I czytelnictwo stąd wzrasta.
Gdy los nam będzie wciąż taki zer
Dodawał do życia wetów,
To wkrótce pośród najniższych sfer
Nie będzie analfabetów.

Z życia prowincyi.

Bezgraniczna nędza, jaką spowodowa-
ła przymusowe bezrobocie, dała po-
chop ludziom dobrej woli do utworzenia

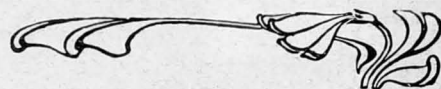


Zofia Pieschowa.



Dr. Stan. Narewski.

w Towarzystwie Rawskim komitetu o-
bywatelskiego „dla głodnych“, który by
niósł pierwszą pomoc doraźną potrzebu-
jącym. Na czele komitetu stanął, nie
szczędząc trudów i czasu, dr. Stanisław
Narewski. Przedtem jeszcze, znana To-
maszowska opiekunka wdów i sierot,
wzór prawdziwej chrześcianki, p. Zofia
Pieschowa, wydziela od siebie każdo-
dziennie aż do utworzenia komitetu po
120 obiadów dla głodnych.



P. Roman Rogala-Zawadzki,

syn ś. p. Broni-
sława, znanego
i zasłużonego
publicysty, otrzy-
mał na wszech-
nicy lwowskiej,
po zdaniu egza-
minu, stopień
doktora wszech-
nauk lekarskich.
Dodać też nale-
ży, że p. Zawadz-
ki jest poza-
tem skończonym
i pełnym talentu
wirtuozem, ucz-
niem Friedmana.



R. Rogala-Zawadzki.

Sargia **KALODONT**

Niezbędny **KREM i ELIKSIR do ZĘBÓW**
Utrzymuje zęby białe, czyste i zdrowe.

żądać wszędzie

CEREZYT

Usuwa wilgoć w piwnicach i mieszkaniach.
Gwarantujemy niewątpliwe działanie.

NAJLEPSZE REFERENCJE Patentowany w Rosji PROSPEKTY BEZPŁATNIE
FABRYKA CEREZYTU, WARSZAWA, MYLNA 7.

MŁODZIENIEC

bez środków pragnąłby gorąco odbyć trzy-
letnie studia przemysłowe — prosi o podanie
ręki pomocnej. Dla okazania wdzięczności
przekazuje na cel publiczny, przez Obywatela-
Wspomożyciela wymienioną, swą polisę
abezpieczeniową, jedyną rzecz, jaką posiada.
Adres: Okazicielowi legitymacji 17621,
„Świat“, Kraków, Bonerowska № 12.

**1-szy WARSZAWSKI ZAKŁAD
TECHNICZNO — DENTYSTYCZNY**
Marszałkowska 51. Tel. 283-62.

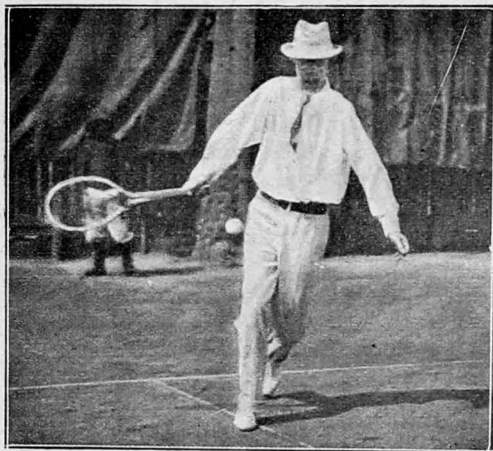
Zęby sz uczne bez podniebienia, w kauczu-
ku, złocie od rubla. Leczenie, plombowa-
nie. Korony złote.

Przegląd sportowy.

№ 5.

Maj 1913 r.

Król—sportsman.



Król szwedzki, Gustaw V-ty, bawiący niedawno w Nizy, oddawał się tamże z niezwykłym zapałem sportowi tenisowemu, wykazując wielką żywotność swego organizmu i zręczność mimo 55 lat życia.

Hodowla i wyścigi.

Garść refleksji i uwag z powodu rozpoczętego sezonu wyścigowego.

Wiosenny sezon gonitw na polu Mokotowskim otwarty. Niestety, przygotowania są znane w Warszawie nielicznej tylko grupie zainteresowanych, zaś sfery towarzyskie, przemysł i kupiectwo, ogół cały wreszcie, jeżeli coś wie o tem, — to ze słyszenia jedynie.

A jednak — powinno być inaczej, ze względu na ogromne, stwierdzone i niezaprzeczone znaczenie prób wyścigowych dla hodowli kraju, zwłaszcza, jak nasz, rolniczego.

Ten widoczny dla każdego upadek wyścigów w Warszawie nasuwa nieco refleksji i uwag. Sprawa jest paląca, jak to wnioskować można z tego, iż coraz częściej bywa omawiana na szpaltach naszych pism, przy czem zastanawiają się nad nią ludzie dobrze z hodowlą obeznani, jak wiceprezes Warsz. Wyśc. Towarzystwa, p. Fr. Jurjewicz („Wieś i dwór”), lub p. S. Wotowski, jeden z najczynniejszych działaczy na polu wyścigowo-hodowlanem („Jeździec i Myśliwy”).

Naszym zdaniem, przyczynę upadku wyścigów w Warszawie upatrywać należy:

1) w wyjątkowej niechęci naszego społeczeństwa do wyścigów w

dzisiejszej ich fazie, jakkolwiek przed laty było wprost przeciwnie. Fakt ten jest tem znamiennejszy, że Warszawa, w gruncie rzeczy, lubi i dziś wyścigi, jak lubi wogóle wszystkie sporty, na świeżem zwłaszcza powietrzu, dowodem czego są konkursy hipiczne, na których bywa nader tłumnie i z całą świetnością.

2) w upadku naszej hodowli, koni pełnej krwi, która z roku na rok kurczy się teraz i maleje.

Jeszcze dziesięć lat temu, w 1902 r., na liście hodowców, którzy zdobyli premie produktami swych stad na torze Mokotowskim, figurowały nazwiska pp.: A. hr. Potockiego, Ord. M. hr. Zamoyskiego, ks. Lubomirskich, M. hr. Krasieńskiego, J. hr. Giżyckiego, A. ks. Drucko-Lubeckiego, L. bar. Kronenberga, T. hr. Zamoyskiego, L. Grabowskiego, A. Michalskiego, E. Mysyrowicza, S. Sonenberga, H. Blocha, J. Reszkego, S. Wrotnowskiego, W. Krzymuskiego, K. Korsaka... dziś — ze stad tych pozostały jedynie: stado w Widzowie, którego produkty biegają obecnie za granicą wyłącznie niemal; stado w Krasnem, które, jako produkujące materiał pierwszorzędnej wartości, nie znajduje u nas dla produktów swych odpowiednich nabywców (co znów dzieje się z powodu, że warszawski program popiera przedewszystkiem konie średniej wartości) i jest zmuszone sprzedawać wszystko do Rosyi; wreszcie stado w Serenikach, po śmierci swego założyciela, — w zupełnym obecnie znajduje się upadku. W rezultacie, z bujnego rozkwitu naszej hodowli w latach 90-tych, co kosztowało kraj nasz miliony, pozostało obecnie 25 hodowców, posiadających przynajmniej pięć matek stadnych pełnej krwi, zaledwie; zaś w całym Królestwie Polskiem rodzi się obecnie przeciętnie 180 źrebiąt pełnej krwi rocznie (w 1910 r. — 185 szt., w 1911 r. — 179 szt., według danych urzędowych).

Fakt upadku naszej hodowli jest tem więcej anormalny, iż Królestwo Polskie okazało się z całego Cesarstwa dla hodowli najodpowiedniejszym. U nas urodziły się najlepsze stadniki w Państwie: Ruler (w Krasnem) i Sac-à-papier (w Widzowie). Z 30-stu derbistów wszechrosyjskich (Moskwa) — 20-tu ur. się w Król. Polskiem. Najlepsze konie roku zeszłego: Mamur, Zeitun, Erna, Brave-Boy... pochodzą ze stad naszych hodowców, lub też z naszych stad początek swój biorą: Mamur, derbista r. z., ur. się w st. p. I. Ursyn-Niemcewicz, Zeitun, zwycięzca na-

grody „Wielkiej Internacyonalnej“ (Moskwa), wart. 80,000 franków, jest synem Viry, klaczy będącej ongi własnością ord. M. hr. Zamoyskiego; Erna, najlepsza klacz trzyletnia r. z., jest córką Airy, ur. w st. p. S. Wrotnowskiego; słynny Brave-Boy, który uzyskał rekordową, dla krajowego konia, cenę 75,000 rb., jest synem ur. w st. p. J. Reszkego Brangeny; wreszcie mający olbrzymie szanse zostania derbistą austriackim „Mości Książę”, jest synem w Widzowie urodzonych: Sac-à-papier i Izbicy.

Te najlepsze z całego państwa warunki klimatyczne naszego kraju dla hodowli koni pełnej krwi zwróciły uwagę hodowców rosyjskich. P. M. Łazarew założył swe stado w Starej Wsi, pod Warszawą. Obecnie, niemniej olbrzymie stado zakłada w Dłutowie p. L. Mantaszew. Do nas przenieśli swe stada: p. M. Malicz i ks. A. Wołkoński...

Nie warunki istotne, zasadnicze złej gleby, wody, lub klimatu stały się przeto przyczyną upadku naszej hodowli. Działy tutaj jakieś inne czynniki. Jakież?

O ile się zdaje, głównym powodem tego smutnego stanu rzeczy jest to, iż od spraw wyścigowo-hodowlanych odsunęła się zupełnie niemal arystokracja, a za nią, oczywiście, i finanse. Wyścigi zdemokratyzowały się wprawdzie wszędzie, lecz nigdzie nie odsunęły się od nich sfery wyższe w tym stopniu, jak się to widzi u nas. W Anglii stajnię wyścigową utrzymuje nawet dwór, aczkolwiek król Jerzy nie jest bynajmniej sportsmanem. We Francyi, Włoszech i Austrii na liście właścicieli stajen widzi się cały szereg nazwisk najwyższej arystokracji, nie mówiąc już nic o tem, że stajnie wyścigowe utrzymują dla stosunków tuż finansowe w rodzaju: Rothschildów, Vanderbiltów, Ephrussich, Joel'ów, Springerów, Dreherów i t. d. W Niemczech sprawę wyścigów popiera cesarz Wilhelm, pod którego rządami stado państwowe Graditzkie zajęło pierwsze w Europie środkowej miejsce, a tacy Weinbergowie, za zasługi położone dla hodowli, otrzymują szlachectwo.

Jakie są powody tej abstynencji naszych sfer możliwych od wyścigów — trudno dokładnie orzec. O ile wnioskować można, uczyniły to one przedewszystkiem pod wpływem opinii całego kraju, wrogo dla wyścigów usposobionej.

Niechęć ta wytworzyła się, dzięki wprowadzeniu na wyścigach totalizatora, który, prawda, że dał ol-

brzymie, w porównaniu z przeszłością, środki materyalne w ręce towarzystw wyścigowych, lecz zabił jednocześnie czysty sport, wprowadzając za sobą na turf nigdy nie widziane tam przedtem oszustwa żokiejów i trenerów, a nawet właścicieli stajen, co z kolei stało się powodem licznych skandali. Totalizator, w dodatku, zdemoralizował same dyrekcje towarzystw wyścigowych. Jest to fakt. Ocena taka padła nawet z wysokości tronu. Dyrekcje bowiem, po wprowadzeniu totalizatora, zaczęły się troszczyć o liczne przedewszystkiem w gonitwach pola; co, oczywiście, postawiło je w zależności od właścicieli stajen. Że zaś tym ostatnim sprawy hodowlane są najzupełniej obojętne i domagają się tego jedynie, by materyał wyścigowy był najtańszy, oraz by nim jaknajwięcej wygrać było można — hodowcy widzieli się zmuszeni obniżyć poziom produkcji, ażeby ją przystosować do nowych wymagań, zaś zarządy towarzystw wyścigowych zwiększają do absurdu liczbę gonitw, byle tylko *każdemu* koniowi dać możliwość zapracowania na owies.

Rezultatem tego jest, iż wyścigi nasze stały się wytworem sztucznym i istnieją bynajmniej nie z przyczyny, ażeby ich potrzebowała hodowla dla selekcji materyału stadnego, lecz same dla siebie. Że zaś przy tym stanie rzeczy hodowcy poczęli związać swoje stada — zaczęło warszawskiemu torowi brakować koni. Brak ten był przed paroma laty do tego stopnia silny nawet, że groził bankructwem naszemu Wyśc. T-wu. Obecnie kryzys minął, gdyż na tor nasz, zwabione licznymi nagrodami i łatwością ich wygrywania, zaczęły napływać w dużej masie konie w Rosyi urodzone i do rosyjskich należące sportsmenów.

Stan podobny wszakże trwać długo nie może i łatwo przewidzieć można, iż nieco wcześniej lub później musi nastąpić katastrofa, do której nie należałoby dopuścić, lecz zapobiedz, wyszukując środki, któreby mogły skutecznie przeciwdziałać złemu. Akcja ratunkowa powinna być może prowadzona w trzech kierunkach: 1) by nastąpił zwrot w opinii na cele i zadania towarzystw wyścigowych, oraz wpojenie w społeczeństwo świadomości o niezbędności wyścigów koni pełnej krwi, bez których nie może być mowy o racjonalnej hodowli, 2) by ograniczone zostało funkcjonowanie totalizatora do granic istotnej potrzeby, 3) rozwoju hodowli.

Zwrot opinii jest *conditio sine qua non* odrodzenia hodowli; bez zwrotu tego nie można myśleć o tem, by hodowlą koni pełnej krwi, z zamiarem próbowania ich we własnych barwach na torze, zajęli się ludzie możni i ustosunkowani. Na ważność znaczenia opinii publicznej w tej sprawie zwrócił już uwagę członek Dumy Państwowej, p. L. Luce, w

czasie posiedzeń, w Głównym Zarządzie Stadnin Państwowych, Komitecie, obradującego nad wynalezieniem środków, mających na celu podniesienie hodowli. P. L. doradzał mianowicie jaknajszersze informowanie społeczeństwa o celach Tow. Wyścigowych oraz wartości konia pełnej krwi, o czem ogół nasz ma jaknajbłędniesze pojęcia, przyczem fakt istnienia podobnie błędnych poglądów nazwał ogromnem złem, z którem walczyć należy ze wszystkich sił.

Opinia publiczna nie ulegnie jednak napewno zmianie, dopóki funkcjonowanie totalizatora nie zostanie prawnie ograniczone w ten sposób, by liczba gonitw była ustosunkowana i zależna od liczby urodzonych źrebiąt. Tutaj powinno być może przemówić społeczeństwo, co jest tem bardziej na czasie, iż w okresie przyszłych tegorocznych miesięcy zimowych ma być opracowana nowa ustawa. Stosunek ilości gonitw do liczby koni jest u nas stanowczo anormalny i nigdzie niepraktykowany. W Anglii naprz. w r. z. było 2,148 gonitw, w których biegło 4001 koni. Stosunek ten jest wszędzie na kontynencie nieco gorszy, lecz nawet w Austrii, w której gra na wyścigach zaczyna być dominującą, w r. z. było 1,247 gonitw, zaś biegło koni 1,295. W Rosyi było w r. z. 2,389 gonitw, aczkolwiek biegło 1,482 koni wszystkiego! Gorzej przedstawia się jeszcze u nas stosunek urodzin do ilości gonitw: w r. z. mieliśmy w Warszawie 353 gonitwy, a rodzi się u nas przeciętnie zaledwie 180 źrebiąt pełnej krwi rocznie. Cyfry te mają wymowę tak silną, że nie potrzebują już dalszych komentarzy.

Wreszcie, ostatnim, nieodzownym czynnikiem podniesienia z upadku hodowli winnyby być może usiłowania dania bezpośredniej pomocy poszczególnym hodowcom w podniesieniu poziomu wartości produkowanych okazów oraz zwiększeniu ich liczby.

W tym kierunku pracowałyby mogły jedynie związki hodowlane, których owocną działalność można obserwować w całym kulturalnym świecie, za wyjątkiem jednej Anglii, gdzie hodowla jest tak zakorzeniona i tak silna, że żadnej pomocy nie potrzebuje. Już jednak we Francyi istnieje „Syndykat hodowców“, mający za zadanie import wybitnych ogierów z Anglii (w obecnej chwili Syndykat rozporządza reproduktorami: Sundridge'm, Rock Sand'em, Darley Dale'm i Wildfowler'em). W Austrii istnieje „Zuchtverein“, w Niemczech — „Importation Kommission“. Ta ostatnia w okresie 15-l. istnienia kupiła w Anglii 120 matek z 39 źrebiętami za ogólną sumę 2,417,667 marek i materyał ten odstąpiła następnie hodowcom za sumę 1,202,900 marek. Pomiędzy innemi, „Verein“ nabył i Festę (za 21,952 ma-

rek), potomstwo której wygrało do dziś 1,382,550 marek.

U nas, przed dwoma laty, projekt syndykatu polskich hodowców złożył dyrekcji Warsz. T-wa hodowca ze Skoków, p. I. Ursyn-Niemcewicz; ostatnio podobny projekt był omawiany na zjeździe, o którym powyżej już wspominałem, lecz względem obydwóch — dyrekcja naszego T-wa zajęła niechętnie stanowisko, przyczem, co charakterystyczne, nie oddała ich pod obrady ogółu hodowców, a choćby tylko członków T-wa, aczkolwiek ci hodowcy, którzy projekt publicznie omawiali (A. Baszkirow, M. Łazarew, J. Łaskiewicz, W. Krzymuski), potrzebę związku uznawali i gorąco zachęcali do jego utworzenia.

Wobec tego, hodowcy nasi powinni by może postarać się sami o zorganizowanie związku, tembardziej, że niemiecki „Nord Deutscher Zucht Verein“ (późn. „Imp. Kom.“) rozpoczął swą działalność z bardzo niewielkimi środkami, sumą 150,000 marek wszystkiego (90,000 marek od Wyśc. T-wa, jako 2½% od dochodu z totalizatora, i 60,000 m. od minister. rolnictwa).

Gdyby Związek podobny zorganizował się — nie odmówiłby mu pomocy zapewne Główny Zarząd Stadnin Państwowych, której domagaćby się można było tem śmielej, że Gł. Z. otrzymuje od nas około 45,000 rb. rocznie w r. z. jedno tylko Warsz. T-wo przesłało do Petersburga 41,937 rb.), a i Wyśc. T-wo nie odmówiłoby pomocy, zwłaszcza, że środków teraz ma dosyć. W r. z. miało ono z totalizatora 360,611 rb., z wejść 99,729 rb. dochodu.

Gdyby związek rozporządzał choćby tylko 15,000 rb. rocznie — to i z tak drobną sumą mógłby zrobić wiele dobrego. Gdyby w pierwszym roku kupił dwie, przypuśćmy, klacze, to otrzymałby za nie, po sprzedaży, niemniej 7,000 — 8,000 rb.; w r. następnym rozporządzałby już przeto sumą 22,000 rb. Gdyby kupił ogiera — opłata za stanówki w parę lat zwróciłaby kapitał.

Oczywiście, za pieniądze te nie możnaby myśleć o nabywaniu materyału stadnego pierwszorzędnej wartości, lecz przy dzisiejszym braku reproduktorów (do Janowa w r. b. sprowadzono z fermy Locarno, byle tylko zadość uczynić zapotrzebowaniom) oraz matek stadnych, nawet okazy trzeciej klasy angielskiej byłby dla nas nader pożądane i cenne.

A konie tej kategorii są w Anglii nie tak bardzo znów drogie, tańsze nawet stosunkowo, aniżeli u nas. W r. z. naprz. p. Zwiegincew kupił dla p. Iwanickiego na licytacji w Newmarket syna St. Frusquin'a i May Bruce (z rodu Doncaster'a), Wolfe Land'a, który wygrał 3,242 £. i był w St. Leger czwarty za końmi wysokiej klasy: Swynford'em, Bronzino i Lemberg'em, bijąc Marajax'a, Rosedrop, Winkipop i inne, —

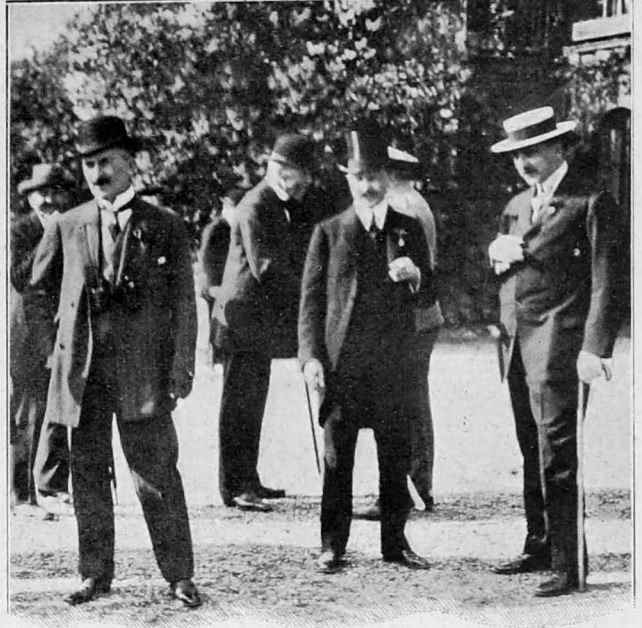
Pierwszy dzień wiosennych wyścigów konnych w Warszawie.



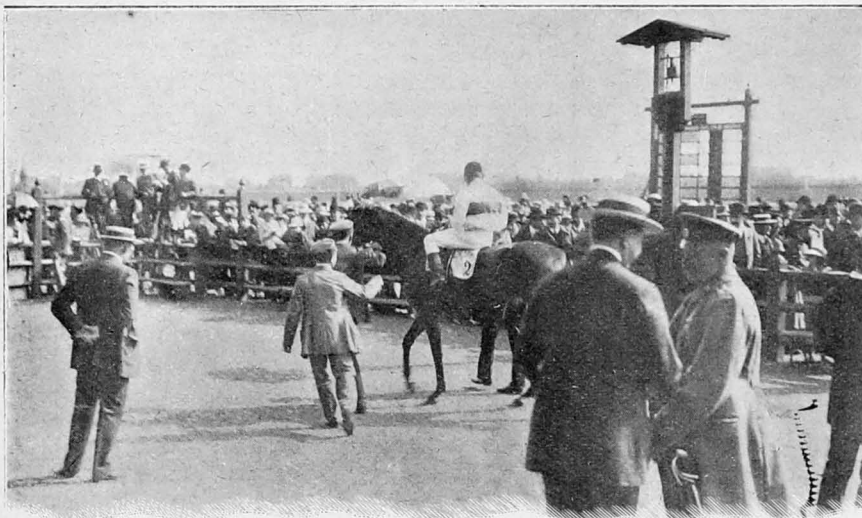
Red. Wotowski ze swym żokejem.
Fot. Maryana Fuksa.



Sekr. T.W.K. p. Stolpe, objaśnia
ordyn. M. hr. Zamoyskiemu wartość konia.



Członkowie Tow. pp. Krumpel, O'Connor, A. hr. Morstin
i Al. hr. Wielopolski.



Zwycięzca w I-ym biegu, stajni wice-prezesa p. Jurjewicza i Al. hr. Wielopolskiego.
Fot. Saryusz Wolski.



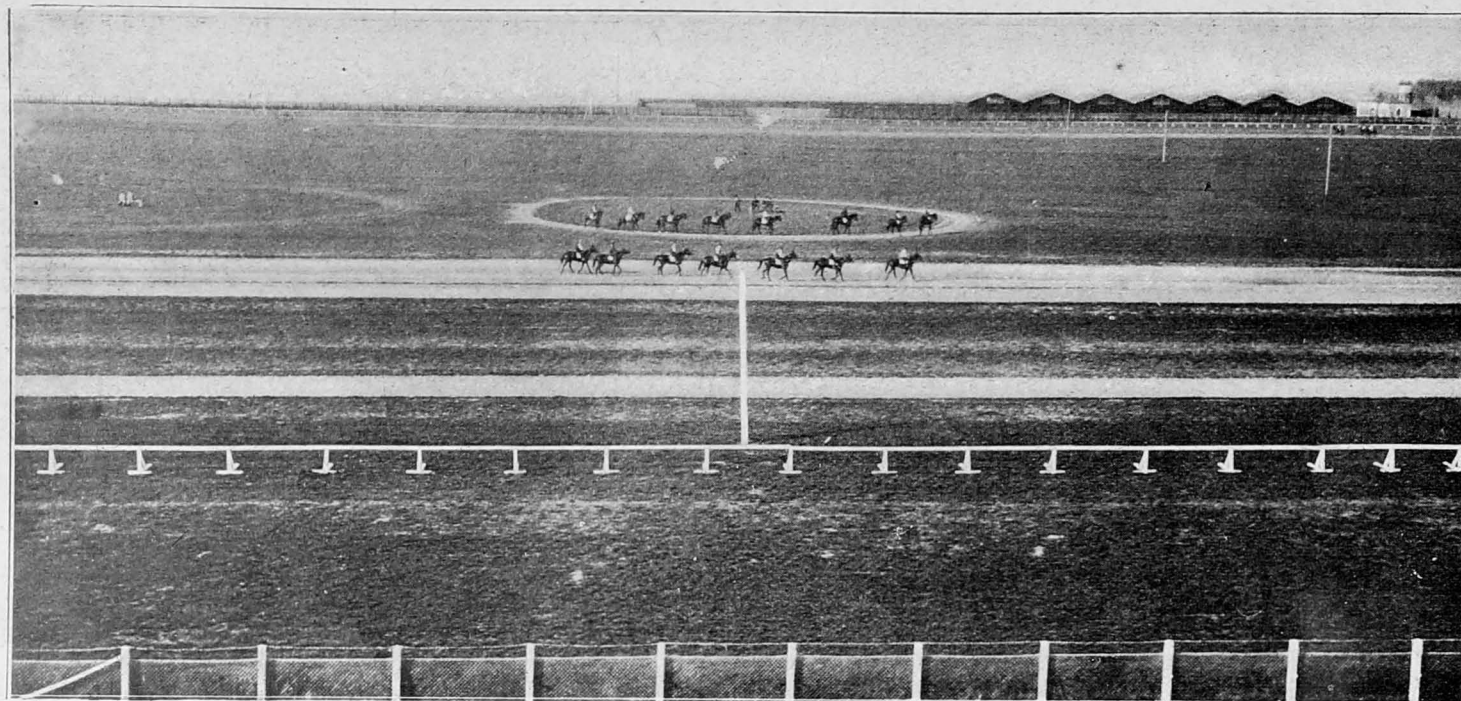
Prezes W.T.W.K. [p. Jurjewicz, po wygranej
„Seliki”].



P. Stan. Lenc, znany malarz, stawia przed biegiem horoskopy.



P. Messalówna, ulubienica publiczności warszawskiej, odpowiada
wdzięcznym uśmiechem na ciągłe ukłony.



Ranna „robota” na torze.

wszystko konie dobre — za sumę 1,120 gw. (=12,000 rb.); p. C. Blanc na tej samej licytacji kupił syna Melanion'a i Sandy (matka Sainfoin'a), Black Sand'a, zwycięzcę „Cesarewitz St.“, „Jockey Club Cup“ (II-gi William the Third), „Ellesmere St.“ etc, za 500 gw. wszystkiego. Stadniki te były nie gorszej klasy od takiego Merry Jack'a (wł. p. W. Malicza), który niemniej, pomimo ceny 200 rb. za stanówkę, otrzymał w r. b. komplet matek (50), co może być przykładem, że kupno stadnika w Anglii jest wcale niezłym interesem i dla Związku nie byłoby połączone ze zbyt wielkim ryzykiem.

W konkluzji, warunki, by wyścigi wróciły do swej dawnej świetności i podniósł się stan hodowli w kraju, są takie mniej-więcej: zredukowanie liczby gonitw i dni wyścigowych, oraz podniesienie stanu hodowli w kraju. A gdy to nastąpi — wtedy i opinia o wyścigach zmieni się zasadniczo, czego w interesie dobra kraju gorąco pragnąć należy.

Brzask.



Sporty wiosenne pod Wawelem.

Wczesna wiosna wzbudziła w Krakowie nadzwyczaj żywy ruch wycieczkowy. Skauci, drużyny sokole i strzeleckie ustawicznie robią nawet dość odległe wycieczki za miasto. Nie ulega też wątpliwości, że ruch wycieczkowy przybierze bardzo konkretne formy i stanie się jednym z głównych sportów w obecnym letnim sezonie. Do zaokrąglenia obrazu wycieczkowego trzeba wspomnieć o projektowanych wycieczkach pod

kierunkiem Akadem. Związku sportowego do miejsc historycznych, jak Tenczyn, Lipowiec i t. d. Należy tembardziej podnieść inicjatywę Związku, że jestto pierwszy krok w kierunku wzbudzenia ruchu krajoznawczego w Galicyi. Doprawdy, żalować należy, że do tego czasu w Galicyi nie znalazł się nikt, który by zorganizował ruch krajoznawczy, tak ciekawy i zajmujący w naszej dzielnicy. Mówiąc o rozwoju turystyki i popieraniu ruchu turystycznego w Galicyi, nie można zamilczeć o usiłowaniach, podjętych przez Akademicki Związek Sportowy, w kierunku wystawienia schroniska, a raczej taniego domu turystycznego, w Zakopanem. Związek sportowy rozwinął w tym celu nadzwyczaj żywą akcję, wydał odezwę i zorganizował komitet, a sprawa budowy domu jest na najlepszej drodze. Wreszcie, należy jeszcze wspomnieć o zorganizowaniu przez A. Związek sportowy międzynarodowego turnieju tenisowego, jaki odbędzie się w połowie czerwca.

Natomiast tak żywy w roku ubiegłym sport footballowy w tym roku zapowiada się znacznie słabiej. Na przeszkodzie, obok innych, stoją bez-

wątpienia stosunki finansowe, spowodowane ogólnym przesileniem. Z pomiędzy klubów footballowych na pierwszy plan wysuwa się „Cracovia“, która posiada od zeszłego roku piękne boisko u wejścia na Błonia krakowskie. „Cracovia“ już kilka razy potykała się w obecnym sezonie z obcemi, przeważnie niemieckimi, drugorzędnymi drużynami, lecz matche te zainteresowania żywszego nie wzbudziły. Drugi klub krakowski „Wisła“ dał się poznać w roku ubiegłym, jako doskonały klub sportowy, a co więcej, swem samodzielnym stanowiskiem wobec centralizacji klubów sportowych w państwie austriackim w t. zw. „Verbandzie“ i formalnej walki, wypowiedzianej słowiańskim klubom sportowym, zdołał pozyskać sympatyę krakowskich amatorów piłki nożnej. Temu to zawdzięczać należy w dużej mierze powstanie polskiego Związku Piłki Nożnej. Być może, że pewien przełom w życiu sportowym i pewne przesilenie, po którym, zapewne, nastąpi ściślejsza organizacja ruchu sportowego polskiego, przyczyniły się obecnie do pewnego osłabienia żywotności tutejszych klubów.

Kraków.

St. W.



Boisko „Cracovii” pod Wawelem.



Dr. T. Bałaban, prezes Oddziału konnego Sokół Macierzy we Lwowie.



Dr. W. Godlewski, wiceprezes Oddziału konnego Sokół Macierzy we Lwowie.



Podpułk. J. hr. Lasocki, wiceprezes Towarz. popisów hippicznych we Lwowie.

Przed lwowskim sezonem sportowym.

Sezon wiosenny nabiera dopiero rozpędu. Parę międzyklubowych matchów footballowych, bieg na przełaj i zawody juniorów, urządzone przez „Czarnych”, parę nowych rekordów w chodni, niedalekie wycieczki kolarskie zorganizowanego niedawno Lwowskiego Towarzystwa Kolarzy i młodzieży szkół średnich, odbywane z inicjatywy Towarzystwa Zabaw Ruchowych a pod przewodnictwem niestrudzonego przyfiacela młodych sportsmenów, prof. Wacka, przy współudziale jego kolegów—oto przegrywki niejako do zapowiadającego się doskonale sezonu, którego clou w maju stanowić będzie niezawodnie II konkurs hippiczny rozwijającego się ponad spodziewanie Towarzystwa popisów hippicznych we Lwowie. Towarzystwo to, którego prezesem jest ordynat Stanisław hr. Siemieński, założone w lutym r. ub., znalazło u ogółu hodowców i sportsmenów, głównie ze sfer oficerskich, od razu bardzo życzliwe przyjęcie, tak, że dziś liczy już około 200 członków i stało od razu na silnych podstawach; wróżyć mu też można trwałe powodzenie, zwłaszcza, że duszą jego jest zamiłowany sportsmen, energiczny wiceprezes, podpułkownik hr. J. Lasocki. Propozycję tegorocznych konkursów obejmują w dwóch dniach (18 i 20 maja): konkurs otwarcia (ze zwykłymi przeszkodami), konkurs omnium (z większymi przeszkodami), konkurs pań, konkurs pocieszenia i popisy w jeździe koni myśliwskich i wierzchowych. Nowością będą wprowadzane tego roku taktety, z których brakiem nie mógł się pogodzić w roku zeszłym jeden z najbardziej kompetentnych w rzeczach konkursów hippicznych, dotyczących sportsmenów, p. Tadeusz Dachowski. Drugą zaś kwestię sporną, a mianowicie uwzględniania dość trudnego przy konkursach stylu (siedzenie jeźdźcy, postawa konia i tempo), rozstrzygnięto w ten sposób, że styl będzie uwzględniany przy zwykłych przeszkodach, przy większych zaś ocena zostanie zaniechana.

Suma nagród w tegorocznych konkursach wynosi 6900 koron, a niemała zachęta do współzawodnictwa będą też niewątpliwie cenne nagrody honorowe, ofiarowane, między innymi, przez cesarza, protektora Towarzystwa, arcyks. Karola Franciszka Józefa, ministerium: robót publicznych, rolnictwa i obrony krajowej, przez m. Lwów, Kasyno Narodowe, Ofic. Związek jeźdźców w Wiedniu, Korpus oficerski 1 p. ułanów, hr. M. Baworowskiego, ks. Wit. Czartoryskiego,

komendanta korpusu gen. D. Koloszwary'ego, wiceprezesa podp. hr. J. Lasockiego, ks. Jerzego Lubomirskiego, prezesa hr. S. Siemieńskiego, J. W. Ułaszyna. Królestwo ma być reprezentowane, między innymi, przez pp. T. Dachowskiego, Łaszczę, hr. Komorowskiego z Hrubieszowa. Z galicyjskich hodowców pewny jest współudział hr. Zdz. Tarnowskiego i hr. S. Siemieńskiego. Z pań wezmą udział w konkursie: p. Engelsheimbowa (czterema końmi) i p. Krautwaldowa.

Poza niedalekimi konkursami, Towarzystwo popisów hippicznych zapowiada już teraz na wrzesień, z inicjatywą inspektora kawalerii gen. hr. Huyna, „Szampionat koni myśliwskich”, obejmujący trzy oddzielne próby dla jednego i tego samego konia: 1. jazdę dystansową (Cross country) na przestrzeni 55 km., częściowo po drogach, częściowo po polach, z 15 — 20 przeszkodami, do przebycia w 3 i pół godzinach; popis konia w ujeżdżaniu, z zastosowaniem wymagań regulaminu wojskowego kawalerii, bez ćwiczeń w bocznych chodach, i popis w skokach przez przeszkody zwykłe na torze konkursów hippicznych.

Pokrewny powyższemu Towarzystwu, Oddział konny Sokół-Macierzy zamknął z r. 1912 XIX rok swego pożytecznego istnienia. Oddział, zdobywający sobie coraz więcej uznania i poważania w społeczeństwie, liczył w roku ub. 141 członków; lekcyi udzielono ogółem 8,508; wycieczek, mimo niekorzystnych warunków atmosferycznych, odbyto w r. ub. 24. Z ważniejszych inwestycji, wspomnieć trzeba powiększenie stajni kosztem około 20,000 koron. Ważną zmianą w

wewnętrznej organizacji Oddziału będzie podział na szkołę jazdy i odrębną organizację, której celem będzie wykształcenie na wzór innych drużyn sokolich. Do Zarządu Oddziału wybrano ponownie ogromnie zasłużonych około rozwoju Oddziału: dr. T. Bałabana (prezes), dr. W. Godlewskiego (zast. prez.), dr. A. Tilla, dr. S. Gołaba (gospodarz), M. Stefkę (zast. gosp.), K. Borkowskiego (sekretarz), z nowych zaś powołano: T. Kotowskiego (zast. gosp.), Dietricha i Koncewskiego. Z ważniejszych uchwał, powziętych na walnym zgromadzeniu Oddziału, wymienić należy zamiar urządzenia w lecie r. b. wielkiego popisu, którego to zadania podjął się nieoceniony w organizowaniu tego rodzaju przedsięwzięć T. Sanchez. Popis pod takim stemem będzie niezawodnie jedną z atrakcji sezonu.

I. Lw. Klub Sport. „Czarni” ogłosił już bardzo interesujący program matchów footballowych na maj z drużynami zagranicznymi, a mianowicie: z Morawską „Slavią” z Berna, z „S. K. Kladno”, z angielską drużyną „New Crusaders”, z głośną na kontynencie „Slavią” z Pragi, wreszcie z drużyną czeską „S. K. Smichow”. — „Pogoń” nie zapowiedziała dotąd, prócz inauguracyjnego, z „Cracovią” żadnych matchów footballowych, ogłosiła natomiast ciekawy program zawodów lekkoatletycznych, a mianowicie: 1 czerwca krajowy meeting handicapowy; 15 czerwca meeting krajowy (biegi rozstawnie, pięciobój i zawody juniorów); 13 lipca meeting krajowy; 20 lipca meeting klubowy (z próbą sił do wielkiego wiedeńskiego meetingu międzynarod. z okazji wystawy „Adria”) i zawody juniorów; 14 września meeting klubowy z próbą sił do II międzynarod. meetingu Z. K. S. „Pogoń”; 21 września II międzynarod. meeting z 4 mistrzostwami Austrii; w dalszym wreszcie ciągu całorocznego programu wymienienia „Pogoń” próby pobijania rekordów.

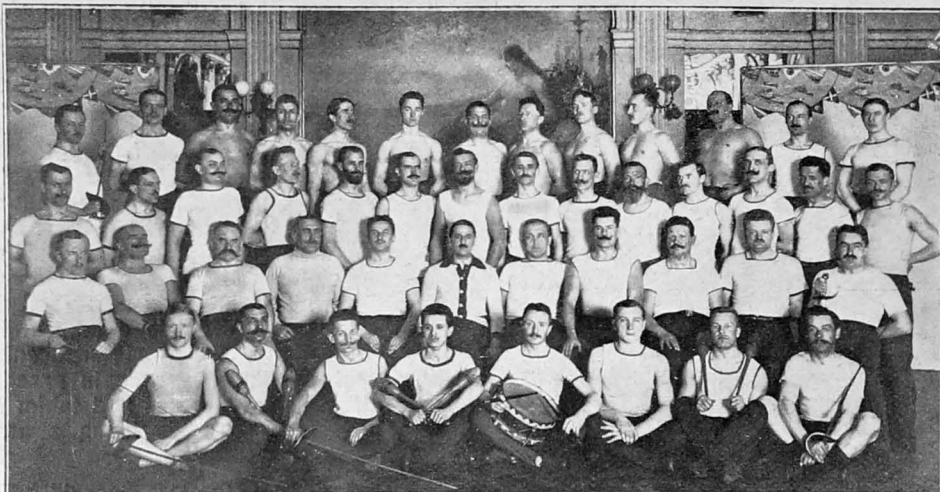
„Pogoń” krząta się obecnie gorliwie około przygotowań do uroczystego otwarcia własnego boiska obok parku Tow. Zabaw Ruchowych. Uroczystość ta przyciągnie niezawodnie pokaźne rozmiary, spodziewani są reprezentanci z całego kraju, wśród których — przypuszczać należy—nie zabraknie także przedstawicieli Warszawy.

Lwów.

Kłośnik.



Wycieczka młodzieży szkół średnich we Lwowie. Z tyłu, po prawej stronie, kierownik wycieczki, prof. R. Wacek.



Uczestnicy ostatniej lekcji w sezonie bieżącym, pod kierunkiem p. E. Nebła.

Szachy.

Kto pisze o szachach, ten ma biedę z określeniem: co to jest właściwie? Najprościej byłoby powiedzieć: „zabawa” — ale cóż to za zabawa, od której ludzie tak często dostają „bzika”? Więc „rozrywka umysłowa”. Jeszcze gorzej. Od tej rozrywki głowa boli, umysł podobno się męczy. A rozrywka powinna być wypoczynkiem. Więc może gra? Zapewne, ale dla jakichś tam „wybranych”, dla „mistrzów”. Bo zwykłego „fuszera” to wcale nie bawi, że może grać tylko z takim samym „fuszerem”, i puszczając się na los szczęścia na morze kombinacji, których nie rozumie i nie przewiduje. Wogóle co to za gra, do której tak trudno dobrać dwóch jednakowej siły partnerów. Można dawać „fory”, ale przecież całe życie grać na fory, to się sprzykrzy, szukać zaś odpowiedniego dla siebie gracza, jeżeli się jest dobrym szachistą, jest mniej-więcej tem samem, co robił Diogenes, szukając z latarką — człowieka.

Najlepiej może określają szachy amerykańskie. Taki Capablanca powiada, że to jest „business” — a ponieważ mu się ten „business” nieźle opłaca, więc zapewne ma rację. Ale cóż powie o tym *businessie* taki sobie pan, któremu można dać konia „for”? Ładny *business*! Ile on już za ten „fach” zapłacił!

Więc cóż to jest? Mania, zabawa, gra, fach czy też nauka albo sztuka, jak twierdzą Niemcy?

Ach, ci Niemcy! We wszelkiej dziedzinie wykazują drobiazgowość starych bab, a zawsze im brak jednego tylko: talentu! To oni wywołali cały ten zamęt szachowy. Oni zaczęli uprawiać szachy „naukowo” i mają na sumieniu już niejedną głowę, który zabłąkał się na 64 polach czarnobiałych, po których skakał, jak konik, tak długo, aż pewny był, że prawem metempsychozy wcielił się w tego konika! Nonsens, że szachy to matematyka, z Niemiec właśnie pochodzi. Polega na tem, że niby to można wszystko obliczyć. Teoria szachowa na tem się właśnie opiera. Ale, coż, kiedy nawet w teorii niepodobna wszystkiego obliczyć, a coż dopiero siedząc naprzeciwko partnera, który nie pozwala się poprawiać, krzyczy zaraz, że „figura dotknięta idzie!” — albo też: „nie wolno myśleć palcem po szachownicy!” Tam trzeba wszystko obliczać — w wyobra-

źni, to zaś ma swoje granice — nawet dla największych mistrzów.

Ostatecznie, dochodzimy do przekonania, że o tem czemś dziwnem, co się nazywa szachami, mówić może tylko pewna kategoria ludzi — mistrze szachowi. Reszta, dyletanci, albo „inteligentni fuszerzy”, mogą się co najwyżej bawić ich zabawą (nauką, sztuką), mogą udawać, że rozumieją ich kombinacje, że wierzą, jakoby wszystko przewidzieli i zawsze mieli wygrane partje, a tylko pech, los, fatum, przeszkadzanie galeryi, złe usposobienie, ból głowy, światło w oczy, przeciągi, niewyspanie, złośliwe oczy przeciwnika przeszkodziły im wygrać nieomylnie przez nich rozpoczęte partje.

Główne zasady szachowe są następujące: mistrz jest wtedy tylko dobrze usposobiony do grania, kiedy jego przeciwnik jest źle usposobiony. Mistrz wtedy tylko się omyli, kiedy jego przeciwnik się nie omyli. Jeżeli się mistrz omylił, to i wtedy nawet się nie omylił, jeżeli jego przeciwnik również się omylił. Mistrz nigdy nie traci figury, ale zawsze oddaje ją dla ataku. Teorie mistrza są niewzruszone. Teorie innego mistrza są także niewzruszone. Wygrana partja jest zawsze bardzo ładna. Przegrana partja nigdy nie jest godna uwagi. Partje remis zawsze mogły być wygrane.

Po tem wszystkiem wiemy już, czem są szachy. Prawda? A jeżeli kto chce jaśniejszych określeń, to proszę: Istnieje książeczka, mająca zaledwie 800 czy też 1200 stronic *in quarto*, nazywa się Bilguer. Tam się dowie, czem są szachy. Z małej książeczki (są też takie książeczki polskie, np. p. Kamińskiego) dowie się o tem mniej-kłopotliwie. A komu mało, ten niech przejrzy sobie 10,000 stronic corocznych wydawnictw szachowych, niemieckich, czeskich, amerykańskich, włoskich, francuskich, polskich, a może też japońskich. Tam dopiero się dowie, że szachy to morze niewiadomego, że teorie, dziś stosowane, znane już były mistrzom francuskim w końcu XVIII wieku, że to, co wczoraj uważano za złe, dzisiaj jest dobrem i odwrotnie — i że przedewszystkiem trzeba umieć grać, a do tego, żeby umieć grać, trzeba mieć specjalny talent szachowy, bo bez niego wszelkie teorie są bezpłodne.

Szachy w Polsce zawsze cieszyły się wysoką estymą. Lubili szachy i Kochanowski i Mickiewicz. Lubi je wielu

inteligentnych ludzi u nas, bo niewątpliwie są w nich zasoby piękna. Jest coś tajemniczego w tem, że kto umie grać, temu figury ożywiają się indywidualnem życiem, że wola grającego kieruje tu jakby wojskiem różnorodnem — piechotą, jazdą, artyleryą i t. p., i że od szczęścia zależy tu mniej, niż w jakiegokolwiek innej grze, najwięcej zaś, poza znajomością teorii, od intuicji, dalej od wnikań w psychologię przeciwnika, od przewidywania, co przeciwnik może zrobić. Jest przytem w szachach urok wiecznych niespodzianek, efektownych pomysłów, kombinacji, sprawiających rozkosz przez swoje nieprawdopodobieństwo i fantastyczność, lub żelazną konsekwencję, o ile się mniej-więcej wszystko przewidzi i o ile przeciwnik się nie spostrzeże w czas, że wpadł w matnię.

A największe zadowolenie daje to, że szachy są miniaturką życiowych usiłowań, na które jednak, nie tak jak w życiu, nie trzeba długo czekać. Jest to walka, która daje wyniki natychmiastowe, jest to złudzenie tryumfu, złudzenie, że przejawia się tutaj jakaś nasza moc wyższa od fizycznej, moc ducha.

Ale wszystko to inaczej, niż przy sportach fizycznych. Tam wiem, że jeżeli nauczę się skakać na dwa metry wysoko to jest to moja, dotykalna rzeczywistość, która mi w życiu pomaga. A szachy? dadzą zawsze tylko specyficzne szachowe zadowolenie.

Junior.

Kronika sportowa.

SPORT KONNY.

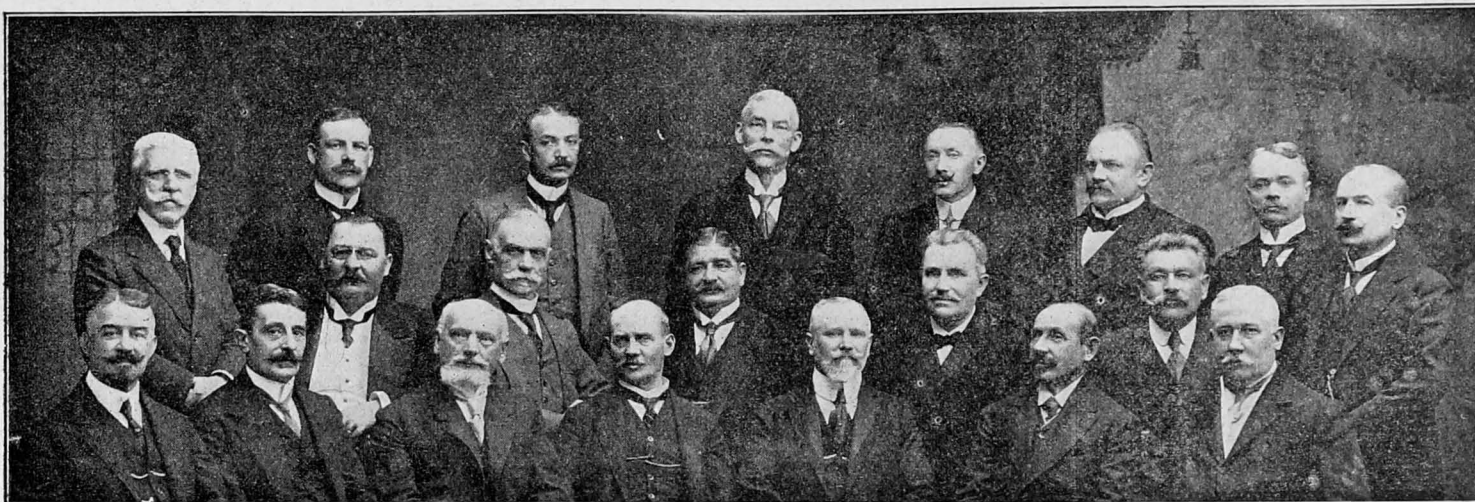
Program wiosenny Tow. Wyśc. Kon. w K. P.

Program, wydany przez Tow. Wyścigów Konnych w Królestwie Polskiem, zapowiada na r. b. 28 dni wyścigowych: 12 na wiosnę i 16 na jesień, przyczem w sezonie jesiennym projektowane jest urządzenie 8 dni dodatkowych, w środku i po ukończeniu dni programowych.

W sezonie wiosennym rozegrane zostaną 72 biegi programowe, z ogólną sumą nagród 80,100 rb. (w r. 1912—75,500 rb.). Ważniejsze nagrody są następujące: 11 maja—Rulera, dla 3 let., 2000 rb.; im. Józefa hr. Zamoyskiego, dla 4 let. i st. 2000 rb. 15 maja—Piotrkowska, dla 3-let., 1200 rb.; Kielecka, dla 3-let. i st. 1000 rb.; 18 maja — Przyczówek im. L. Grabowskiego, dla 3-let., 3200 rb.; im. Al. Wotowskiego, dla 4-let. i st., 1500 rb.; Madame Ferrari, dla 3-let. kl. 1200 rb.; 21 maja, Radomska, dla 3-let. i st. 1200 rb.; Płocka, dla 3-let. 1000 rb.; 25 maja — Oaks, dla 3-let. kl. 3000 rb.; Krasne, dla 3-let. i st., 2000 rb.; Lubelska, dla 3-let., 1200 rb.; 29 maja, Siedlecka, dla 3-let., 1000 rb.; 1 czerwca — Derby warszawskie, dla 3-let., 7500 rb.; Cesarzowa, dla 4-let. i st., 4000 rb.; Kaliska, dla 3-let., 1200 rb.; 4 czerwca — Handicap Intryganta, dla 3-let., 1500 rb.; Miry, dla 3-let. kl. 1500 rb.; Łomżyńska (handicap), dla 4-let. i st. 1000 rb.; 8 czerwca — Jubileuszowa, dla 3-let. i st. 2000 rb.; Łódzka, dla 3-let. i st. 1200 rb.; Sprzedażna, dla 3-let., 1000 rb.; 1 czerwca — Derby handicap Galtee, Boy'a, dla 3 let. i st. 1500 rb.; Suwalska, dla 3-let. i st. 1000 rb.

Ogólna suma nagród, jakie rozegrane będą w biegach programowych, wynosi w 1913 r. 201,400 rb., wobec 181,800 rb. w r. 1912.

Konie ks. ks. Lubomirskich za granicą. Na torze we Freudenau pod Wiedniem ukazał się w tych dniach po raz pierwszy



W środę d. 7 maja r. b. w Tow. Wioślarskim Warszawskim odbyła się uczta koleżeńska na cześć 20 członków-założycieli Tow., którzy od chwili otwarcia klubu do dzisiejszego dnia, t. j. przez lat 30 bez przerwy należeli do Tow. i pracowali gorliwie dla jego rozwoju i pożytku. Są to pp. (I rzęd): H. Biertümpfel, L. Kowalski, Ant. Nipanicz, J. Gardowski, Edw. Treutler, Rom. Szymański, Fel. Rozenberg, Adam Chmielewski. (II rzęd): M. Karstens, A. Strzałecki, K. Trepte, L. Scheller, J. Kowalski. (III rzęd): E. Trepte, M. Ehrlich, Ign. Riegert, Wład. Deniszczyk, Ant. Chojnacki, Leop. Cybulski, Henryk Barylski.

w r. b. og. 4-letni „Łom“ Wł. ks. Lubomirskiego. „Łom“ wyszedł do startu w gonitwie „Fenek“ na dystansie 2,000 metr. o nagrodę 12,000 kor. Wyścig wygrany został przez 3-let. ogiera „Apart“ bar. Springera. Drugim był o długość derbista zeszłoroczny „Kokoro“, za którym łeb w łeb na trzecim miejscu stanęły „Łom“ i „Vivid“.

Wyścigi konne we Lwowie, których propozycje ogłoszono niedawno, obejmą w dniach, od 7 do 15 czerwca 36 biegów: 22 płaskich i 14 z przeszkodami. W programie, podobnie jak w roku zeszłym, za mało uwzględniono krajową hodowlę.

Krajowa wystawa koni w Warszawie. Staraniem Sekcji chowu koni przy Centralnem Tow. Rolniczem odbędzie się w Warszawie w dn. 11, 12, 13, 14 i 15 czerwca b. r. krajowa wystawa koni. Wystawa podzielona będzie na 4 działy, mianowicie: wierzchowy (hodowlany), remontowy, roboczy i koni włościańskich. Wystawione konie będą premiowane w dziale koni wierzchowych nagrodami pieniężnymi w sumie 4,000 rb., oraz medalami i listami, w trzech innych działach nagrodami po 1,000 rb. Na wystawie będzie też dokonany wybór koni, kwalifikujących się do wystąpienia na tegoroczną wszechrosyjską wystawę koni w Kijowie, która się odbędzie w początkach września r. b.

Konkursy hipiczne Koła Sportowego Warszawskiego. Koło Sportowe Warszawskie ogłosiło program i warunki „Concours Hippique“ w Warszawie w parku Agricola w r. b. Ogólna suma nagród wynosi rb. 5,000 prócz przedmiotów wartościowych. Dzień I wyznaczono na środę, 28 maja, II sobotę 31 maja, III wtorek 3 czerwca.

AUTOMOBILIZM.

Jazda konkursowa na samochodach. Z uwagi na coraz bardziej rozwijające się zastosowanie samochodów, jako środka lokomocji, Tow. Autom. Król. Polsk. organizuje: Jazdę konkursową na samochodach, mającą na celu wykazanie sprawności maszyn na naszych drogach. Jazda ta odbędzie się d. 4 lipca r. b. na dystansie 593 w.: Warszawa — Zgierz — Łódź — Piotrków — dzień pierwszy; Piotrków — Radom — Puławy — Lublin — dzień drugi; Lublin — Garwolin — Miłosna — Wawer — Czarna Struga — Zegrze — dzień trzeci. W celu sprawdzenia, o ile samochody krążyć mogą nie po szosach, lecz po drogach bocznych, dystans Warszawa — Błonie przejechany będzie nie szosą, lecz drogą boczną, a mianowicie: przez rogatkę Górczewską — Górcze — Grotty — Babice — Borzęcin — Leszno — Błonie, razem 36 w. drogi bocznej. Wreszcie, w celu stwierdzenia solidności budowy maszyn, urządzony będzie w trzecim dniu konkursu na dystan-

sie Zegrze — Jabłonna bieg na szybkość na odległości 1 kilometra. Zaznaczyć więc należy, że cały konkurs nie ma bynajmniej charakteru wyścigu, lecz dąży tylko do odpowiedzi na pytanie, jakiej konstrukcji maszyny są najbardziej dla naszych dróg odpowiednie; stąd też i konkurs ten mieć będzie niewątpliwie poważne ekonomiczne znaczenie dla kraju.

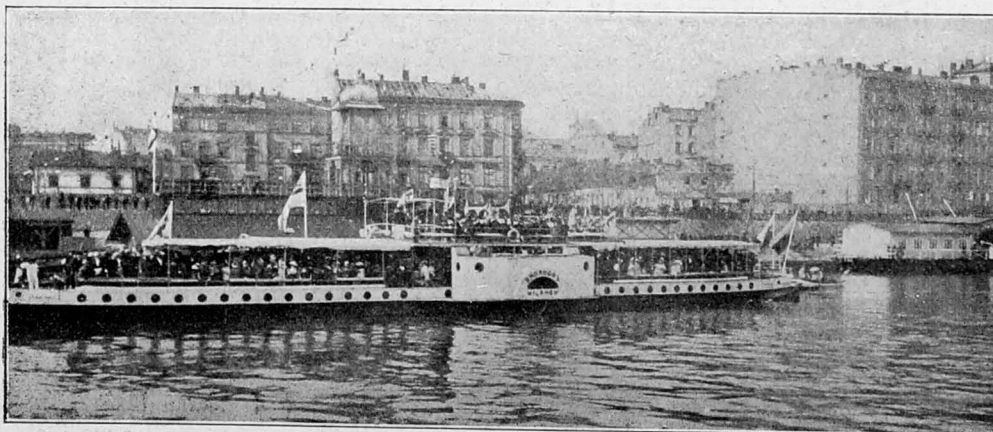
Odczyt o automobilizmie.

Zajmujący wykład, obejmujący całokształt ruchu i rozwoju samochodowego, a ilustrowany licznymi przeżroczkami, wygłosił redaktor „Lotnika i Automobilisty“, p. Zygmunt Dekler, w sali Techników, dn. 25 kwietnia b. r. Na wstępie skreślił prelegent różnicę warunków na Zachodzie i w Królestwie Polskiem, tamujących u nas postęp automobilizmu. Następnie, skreśliwszy historię powstania i rozwoju samochodu od r. 1885, omawiał stronę materialną nowoczesnego wehikułu na podstawie ścisłych cyfr i kalkulacji. W drugiej części swej prelekcji zajmował się p. Dekler wrogami automobilizmu, znaczeniem dobrych dróg i szos dla samochodów, olbrzymim rozwojem automobilizmu w Ameryce, wyrobem pneumatyków oraz palącą sprawą kierowców samochodowych.



Zygmunt Dekler, redaktor „Lotnika i Automobilisty“.

Otwarcie przystani Warsz. Tow. Wioślarskiego.

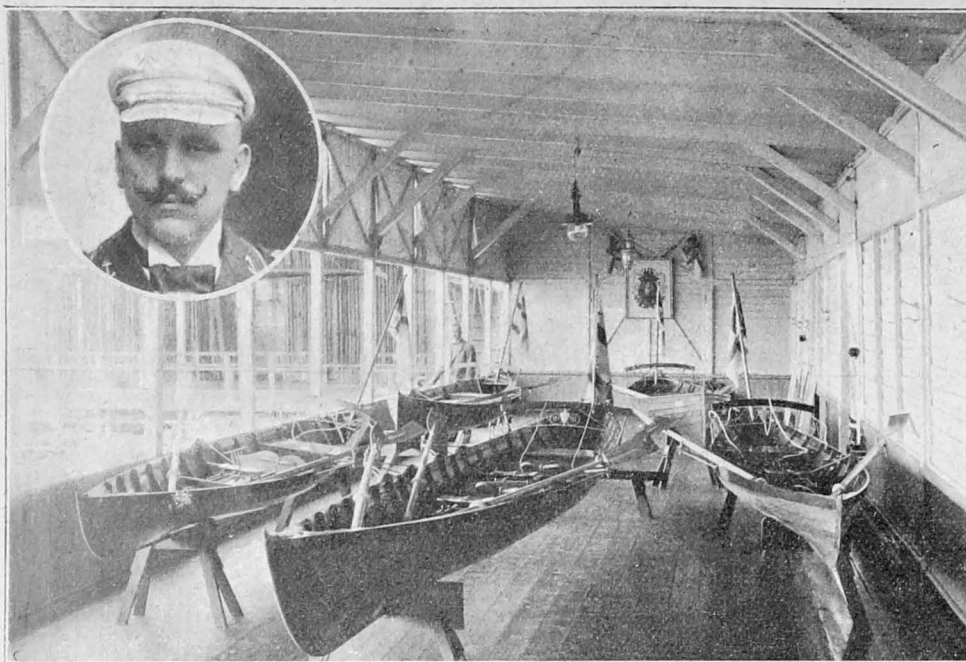


Odjazd z przystani warszawskiej.

SPORT WIOŚLARSKI.

Wyścig dystansowy wiosenny T. W. W. odbędzie się w d. 1 czerwca dla łodzi wielowiosłowych (8, 6 i 4 - wiosłowych). Dystans: Przystań, Łacha Wilanowska, Przystań z powrotem i z zakretem. Początek wyścigu o 7 r. Bieg dochodzi do skutku przy 3 łodziach jednego typu lub 4-ch dwóch różnych typów. Do wyścigu przyjmowane będą zgłoszenia łodzi motorowych, dla zwycięzcy wyznaczono, jako nagrodę, specjalny żeton srebrny.

Pierwsza polska fabryka łodzi sportowych w Warszawie.



Pięć nowych łodzi wioślarskich, wykonanych we własnych warsztatach Tow. Wioślarskiego Warszawskiego, pod technicznym kierunkiem naczelnika przystani, p. W. Bormana.

I trójbój III-go konkursu ogólnosportowego T. W. W. W. Tow. Wioślarskiem Warszawskim rozegrano I-szy trójbój 3-go konkursu ogólnosportowego. Do konkursu stanęło tylko 6-ciu uczestników, z których wszyscy zapisali się do całości konkursu.

Wyniki były bardzo dodatnie, świadczące o pracy zawodników.

Największą liczbę punktów otrzymali: J. Gac 16, J. Duchowski 15, H. Idzikowski (za najlepszą postawę) 15, A. Stankiewicz 12, Z. Jędrzejowski 11½, K. Kitzman 9.

Klub Wioślarzów Warszawskich. W z. m. w klubie Wioślarzów Warszawskich (Żórawia 25) odbyło się pierwsze sprawozdawczo-wyborcze zebranie przy bardzo licznych współudziale członków. Posiedzenie otworzyła p. Wanda Stokowska; przewodniczyła p. Zofia Stankiewiczówna; sekretarkami były pp.: doktorowa Zaborska i Antonina Erbrichówna; asesorkami pp.: Kazimiera Hannówna, Wanda Chelmońska, Roma Zaleska i Janina Hertłówna. W chwili legalizacji statutu klub liczył 30 członków, obecnie zaś liczba ta powiększyła się do 175. P. Helena Prawdzic-Kuczalska zapoznała członków z działalnością sekcji gimnastycznej, która pomyślnie się rozwija. P. St. Hannówna przedstawiła stan budowy przystani, zaznaczając, że roboty już są na ukończeniu i przystań w najbliższym czasie oddana będzie do użytku członków, wraz z taborem i szkołą pływania. Postanowiono: 1) utworzyć komisję sportową, która zajęłaby się zorganizowaniem i wprowadzeniem w życie: kolarstwa, tenisa, konnej jazdy i t. p.; 2) aby oficjalnymi przedstawicielkami klubu były: przewodnicząca i naczelniczka przystani; 3) wybrać komisję rewizyjną, której zadaniem będzie sprawdzenie ksiąg za r. ub. Do zarządu przeszły pp.: Stanisława Białowiejska, Antonina Erbrichówna, Aniela Gąssowska, Stanisława Hannówna, Wanda Krygieńówna, Wanda Jokiel, Helena Prawdzic-Kuczalska, Wanda Stokowska, Jadwiga Stołagiewiczówna, Janina Sztajnbockówna, Anna Szylinzanka, Janina Wąsowiczowa. Na zastępczynię pp.: Helena

Chodyncka, Józefa Gebethnerówna, Kazimiera Hannówna, Wanda Hersówna, Adela Neumanowa, Malwina Ostrowska. Do komisji rewizyjnej pp.: Zofia Bemówna, Halina Kłobukowska, Iza Stillerowa. Na zastępczynię pp.: Helena Bironowa, Eugenia Waśniewska.

LAWN-TENNIS.

Konkurs Lawn Tennisowy. Koło Sportowe Warszawskie urządza wiosenny konkurs lawn tennisowy, który rozpocząć się ma w d. 22 maja r. b. Rozegrane będą następujące partie: Championat single, dla pań. (Nagroda I-sza, ofiarowana przez J. W. Michała Tabęckiego. Nagroda II-ga K. S. W.), Handicap single, dla pań (dwie nagrody); Open single, dla panów (dwie nagrody); Open mixed doubles (Dwie I-sze nagrody, Dwie II-gie nagrody); Handicap doubles, dla panów (Dwie I-sze nagrody, ofiarowane przez J. W. Leona Goldstanda. Dwie II-gie nagrody). Komisję sportową składają: przewodniczący p. Leon Goldstand, „Jury” i komisja konkursowa: Włodzimierz ks. Czetwertyński, Michał ks. Woroniecki, Michał Tabęcki, Mikołaj Kawelin, Wojciech hr. Wielopolski, Oswald Kermenić, Bronisław Kowalewski, Stanisław Wołowski, J. Kowalewski, Jerzy Kleinadel i Jan Drewnowski.

We wszystkich konkursach uczestniczyć mogą: a) gracze-amatorzy; b) młodzież płci obojga, począwszy od lat 15.

FOOTBALL.

I. L. K. S. „Czarni” we Lwowie wystąpił z austr. „Verbandu” footballowego a tem samem ze Związku Polsk. Piłki nożnej i przyłączył się do czechów, którzy należą do międzynarod. „Unii”, uwzględniającej narodowość klubów, podczas gdy międzynarod. „Federacja”, do której należy austriacki „Verband”, uwzględnia tylko przynależność państwową. Narazie klub jest odoobniony wśród ważniejszych polskich klubów sportowych w Galicji, wszystkie bowiem należą dotąd jeszcze do Związku Polsk. Piłki Nożnej. „Czarni”, niezadowolony z dotychczasowego biegu spraw w pow. Związku, zamierzają dać inicjatywę do utworzenia nowej naczelnej polskiej organizacji footballowej. Czy dobrze wyjdą na zaję-

tem przez siebie obecnie stanowisku, trudno w tej chwili przesądzać. Zależy to głównie od tego, czy wśród klubów pokrewnych znajdą zwolenników swojej idei.

SPORT NA PROWINCYI.

Otwarcie przystani Towarzystwa Wioślarskiego Kaliskiego, połączone zostało z uroczystością poświęcenia nowego budynku przystani, odbyło się d. 4 b. m. z udziałem około 100 członków.

Złot Wioślarski w Ciechocinku. W Towarzystwie Wioślarskiem Warszawskim komitet rozpoczął już zabiegi około organizacji dorocznego zlotu w Ciechocinku, wypadającego w r. b. w dni Zielonych Świąt, d. 11 i 12 maja. Jak zwykle, główny dzień zlotu przypada w drugi dzień świąteczny. W przeddzień ścigać będą uczestnicy z różnych stron, a nad wieczorem wszyscy przybyli udadzą się pod Czerwony Krzyż na spotkanie oczekiwanych łodzi i osad nad Wisłę. Dzień zlotu wypełnia: nabożeństwo w kościele miejscowym, wspólny obiad, spacer, zaimprovizowane regaty i wyścigi piesze. Gospodarzyć na zlocie będą w r. b. wioślarki warszawskie. Łodzie do Ciechocinka wyruszą będą w różnym czasie, zależnie od warunków rozporządzonego czasu każdej z osad.

Koło myśliwskie Włocławskie. Na ostatnim ogólnym zebraniu Włocławskiego Koła Myśliwskiego wybrano do zarządu na prezesa p. Józefa Siedleckiego (ponownie), na vice-prezesa p. A. Eichenwalda, na łowczego p. Bolesława Steinera (ponownie), na pod-łowczego p. Głuchowskiego, na kasyera p. Siedleckiego (ponownie), na sekretarza p. Szrettera (ponownie), na 7-go członka p. Kazimierza Beczkowicza.

Tir aux pigeons w Wilnie. W dobrach Pospieszka hr. Aleksandrowicza pod Wilnem grono sportsmanów z Litwy z pp.: Al. hr. Ilińskim-Kaszowskim, Kast. ks. Radziwiłłem, ks. ks. Zagillami, A. hr. Lubienieckim, J. Hallenbergiem - Hallerem, ks. Sapiechą i innymi — na czele urządził w dd. 10, 11, 13, 15 i 16 czerwca n. st. konkursowe strzelanie do gołębi.

Zapisy przyjmuje Bohdan ks. Zagill w Wilnie.

Wyścigi w Wilnie. Towarzystwo Wyścigów Konnych Wileńskie wyznaczyło dni wyścigowe na 18, 22, 25, 27 i 30 maja n. st. Oprócz zwykłych nagród dla koni pełnej krwi, Towarzystwo uzyskało od Głównego zarządu stadnin 1.500 rb. i od Franciszka hr. Czapskiego 500 rb. dla koni pół-krw. Po ukończeniu wyścigach odbywać się będą na polu wyścigowym konkursy hipiczne, oraz d. 25 maja „Wielki bieg myśliwski” z nagrodą Głównego zarządu stadnin, 27 „Konkurs dnia wierzchowego” z nagrodą p. Michała Meysztowicza.

SPORT W WILNIE

W czasie sezonu wyścigowego w dniu 10/23—11/24—13/26—15/28 i 16/29 Maja odbywać się będzie strzelanie do gołębi na nowo otwartym Standzie, w Pospieszce, na torze wyścigowym. Bliższych informacji udziela ks. Bohdan Zagill

Wilno ul. Kazańska.

Nowa Ustawa Łowiecka. Wobec różnych poglądów o projekcie nowej ustawy łowieckiej, wniesionym do Dumy, należy wyjaśnić, iż projekt ten nie został opracowany ze współudziałem Warszawskiego Tow. Prawidłowego Myślistwa, lecz opracował go specjalny zjazd myśliwski, odbyty w Moskwie. Z Warszawy zwrócono się do posła Dymyzy z prośbą o wprowadzenie zmian i poprawek, uwzględniających specjalne terminy otwarcia polowań dla Królestwa Polskiego wobec odmiennych od Cesarstwa warunków klimatycznych.

Treść № 19 „Świata”.

Hiszpańskie i albańskie wawozy. C. Jankowski.
W te nieszczęśliwe, polskie, szare dni. J. Relidziński.
Słowacki nad oceanem. (Z 1 il.) W. Gomulicki.
Aforizmy Tomasza Zana. K. Bartoszewicz.
Powieść o jawnochrześcijaństwie. (Z 2 il.) W. Grub.
Jak ocalała dusza starego klasztoru. (Z 4 il.)
Clarus.
Ze stolicy nadniewskiej. Bh. K.
Sufrazytki. (Z 2 il.)
Król Hamletów. (Z 5 il.) Dot.
Z teatrów warszawskich. (Z 2 il.) sk. A. B.

Morderstwo w parku teresińskim. (Z 1 il.) D.
Najważniejsze wypadki minionego tygodnia.
Humor i Satyra. Krogulec.
Z życia prowincji. (Z 2 il.)
Roman Rogala-Zawadzki. (Z 1 il.)

ODDZIELNE ILUSTRACJE:

Wystawa wiosenna w Tow. Zachęty Sztuk
Pięknych w Warszawie. (6 il.)
Dwudziestolecie Tow. dziennik. we Lwowie.
Wielki Kraków.
Zatarg między Austrią a Czarnogórzem. (4 il.)
Teatr popularny przy W. T. Rob. Chrz.
„Warszawska kooperatywa drzewna”.

Na widowni — z tygodnia. (3 il.)
Katastrofa lotnicza
Z teki karykatur Sichulskiego. (5 il.)

PRZEGLĄD SPORTOWY.

Król-sportsman.
Hodowla i wyścigi. (Z 1 il.) Brzask.
Sporty wiosenne pod Wawelem. (Z 1 il.) St. W.
Przed lwowskim sezonem sport. (Z 4 il.) Kł.
Pierwszy dzień wyścigów konnych. (7 il.)
Kółko gimnastyczne przy W.T.W.
Szachy. Junior.
Kronika sportowa. (Z 1 il.)
Pierwsza polska fabryka łożysk sport. (2 il.)

Z Kalotechniki.

Marszałkowska 116, tel. 16-73.

Nr. 102. Zbyteczny tłuszcz z twarzy usunie płyn Vesta oraz Perelki alkaliczne, nadając jednocześnie cerze piękny mat i białość. Włosy siwe barwi trwale na kolor czarny farba d-ra Phonseca.

Nr. 47. Myć się Wodą Różaną radioaktywną z Otrąbkami Vesta, a najwrażliwsza cera doskonale się konserwować będzie. Analiza wło-

sów wykazała zawartość pasożytniczego grzybka, który niszczy włosy. Myć włosy co tydzień mydłem płynem Antrasolowem, poczem splukiwać wodą z octem. Codziennie nacieierać masażowo skórę głowy Radiolem.

Nr. 1. Włosom przywróci pierwotny kolor Woda d-ra Rixa. Jamę ustną aseptycznie utrzymuje Elixir Radiowy. Dla usunięcia wągrów trzeba zwrócić się osobiście do Kalotechniki, — następnie stosować płyn Vesta oraz Perelki alkaliczne, a waga-

gry nie powtórzą się. Analiza włosów kosztuje rb. 3. W tym celu trzeba przysłać wyczeszki włosów; lekarz zbada i przepisze kurację.

Nr. 15. Lwowie. Wymienione tu środki są we Lwowie w składzie Pawłowskiego, Akademicka, 21. Listy z zapytaniami należy skierowywać wprost do Kalotechniki, Marszałkowska 116, telef. 16-73, a wszelkich informacji udzielamy bezinteresownie.

Zarząd Kalotechniki.

Poradnik higien.-kosmetyczny.

Upały i zęby.

Wiele osób, przeczytawszy powyższy nagłówek, zapyta się ze zdumieniem, coż wspólnego może mieć upał z zębami. Bezpośrednio — nic, ale pośrednio — bardzo dużo. Wzrastając upały potęgują w znacznym stopniu spożywanie przeróżnych pokarmów ochładzających, jak lody, mazażany i t. p. Nagłe oziębienie zębów odbija się szkodliwie na emalji, niszcząc ją i powodując przez to próchnicę i ból. Zaradzić temu należy zawczasu, a to przez umiejętne i nader staranne pielęgnowanie jamy ustnej. Znakomite wprost w tym wypadku usługi oddaje stałe, a zabezpieczające w zupełność od psucia zębów, używanie środków konserwujących zęby i dziąsła, znanych

pod nazwą „Tlenolu“ (eliksir, krem i proszek), przygotowanych podług przepisu d-ra medycyny Napoleona Cybulskiego, profesora Wszechnicy Jagiellońskiej. Nabywać je można w specjalnych, nader ozdobnych opakowaniach, do których załączony jest szczegółowy sposób użycia. Zwracamy przy tem uwagę, że krem Tlenol nie zawiera mydła rozkładającego się na kwasy tłuszczowe, szkodliwie działające na emalję zębów.

Krem mitinowy.

Dla łagodnego oczyszczenia wrażliwej skóry, do mięsienia i do utrzymania cienkiej warstwy pudru, najlepiej nadaje się krem mitinowy. Wciera się on doskonale, przenika z łatwością skórę, niepozostawiając śladów tłuszczu, wygładza skórę chropowatą, porysowaną lub łuszczącą się, która po syste-

matycznym stosowaniu go przybiera wygląd delikatny, różowy. Krem mitinowy wciera się często, lecz za każdym razem w małej ilości, najlepiej na noc. Zapach ma bardzo przyjemny. Znakomicie przytem zabezpiecza przed piegami, tak szpecąciami urodę kobiet przy obecnych upałach.

Najwygodniejszy puder.

Nosić z sobą puderniczkę... Nosić z sobą puder... Czyż to nie zawiele kłopotu, dla naszych pań, które w gruncie rzeczy są wielkimi wyodniałkami, a zwłaszcza przy obecnej modzie obcisłych sukien. Przemysłowość ludzka dokonała wynalazku, który ten kłopot usuwa w zupełności. Jest nim t. zw. Papier l'oudré Ltd., papier pudrowy w książeczkach, jedna kartka któreż, rozłóż na twarzy, okrywa ją cienką warstwą pudru. Dr. M. D.

Z salonu de beauté.

Przy zakładach fryzjerskich **Józefa Bagnowskiego, Wilcza 35, róg Marszałkow-**

skiej, pod kierunkiem lekarza-specjalisty, i przy udziale wykwalifikowanych i dyplomowanych współpracowniczek. Zawiadamiamy, iż został otwarty i wykonywa: manicure, pedicure, masaż i parowanie

twarzy, epilację i analizę włosów, usuwanie piegów, wągrów, brodawek, czerwoności nosa, upiększanie twarzy i t. p. Zakład otwarty od 9 rano do 8 wieczorem. Przyjęcia lekarza od 4 do 6 po południu.

„MIESIĄC ILUSTROWANY”

najwytworniejsze, aktualne, najobficiej ilustrowane czasopismo polskie. Barwne ilustracje w każdym numerze. Zajmujące utwory powieściowe, kwestie społeczne i polityczne na dobie. „Miesiąc ilustrowany” jest jedynym pismem w Warszawie, które zamieszcza w każdym numerze ciekawe artykuły o najnowszych odkryciach naukowych i wynalazkach z ilustracjami.

Prenumerata roczna rb. 6.—, pocztą rb. 7.50.

Redakcja Wspólna № 45.

Redaktor i wydawca Wład. Umiński.



NIE ZANIEDBUJCIĘ NIGDY PRZEZIEMBIENIA I ZAŻYWAJCIĘ NATYCHMIAST

TRISAN D^{ra} HOMMELA

PRZY KASZLU, CHRYPCIE, KATARZE I W OGÓLE CHOROBYCH ORGANÓW ODDECHOWYCH I GARDŁANYCH. PROSIMY ŻAŁĄĆ IMIĘ D^{ra} HOMMELA.

Nakładem Tow. Akc. Wyd. „Świat” wyszła z druku książka niezbędna dla każdego, kogo interesują obecne wypadki polityczne:

KAZIMIERZ EHRENBURG

⇒ Czasy Teraźniejsze. ⇐

Szkie historyi wydarzeń politycznych w ostatnim ćwierćwieku aż po dni dzisiejsze.

Cena rb. 2.20, z przesyłką 2.50.

TRZĘSC: Sprawy Polskie. — Niemcy i Austro-Węgry. — Państwo Wielkobrytańskie i kraje Północne. — Rzeczpospolita Francuska. — Łacińskie południe i wojna Włosko-Turecka. — Rosja, Wschodnia Europa i Wojna Bałkańska. — Równowaga Mocarstw. — Ocknięcie się Azji. — Podział Afryki. — Nowy Świat. — Zagadnienia Wszechświatowe.

Do nabycia w Administracji „Świata”, ul. Zgoda № 1, oraz we wszystkich księgarniach.

PERFUMERYA
Perfumy,
Woda Kolońska,
Mydło
„IDEAL”.
Wł. S. J. Czepelewiecki z Sami, w Moskwie.

Fabryka Józefa Goreckiego
w PODGÓRZU (KOŁO KRAKOWA)

wyrobienie siatek żelaznych, drut gładki i kołczasty pocynkowy, meble żelazne i mosiężne, urządzenia szpitalne i kliniczne, wyroby żelazne kute ornamentalne i budowlane.

Telefonu № 277.
Adres dla listów: Józef Gorecki,
Podgórze, Kraków.

KOMINIARZE.



Przynajmniej raz do roku każecie zgłaszać się do siebie kominiarzom, ażeby oczyszczono piece wasze od sadzy, gdyż te mogłyby spowodować pożar. A czy pomyśleliście o tem, że żołądek zanieczyszcza się podobnie jak piec i również winien być doprowadzony do porządku, to zaś osiąga się jedynie za pomocą łagodnego środka przeczyszczającego, jaki bezwzględnie należy przyjmować od czasu do czasu.

Skawulin jest najlepszym ze środków przeczyszczających. Jest on łagodny i przyjemny w użyciu, jako pigułki bez smaku, które nie rozdrażniają kiszek i nie spowodują kolek ani mdłości.

SKAWULIN.

Ciechocinek PENSYONATY Leokadyi Żurkowskiej

Obok łazienek w lasu sosnowym. Pokoje wykwinie urządzone, kuchnia wyborowa, oświetlenie elektryczne, kanalizacja.

Wiadomość: **Ciechocinek, dworek Poraj.**



SZKOŁA KROJU M^{ME} MERCÈRE

Egzystująca lat 25.

Kursy krawieczyny i bielizny z prawami rządowymi.

Gruntowna nauka szycia, pasowania i modelowania. Przy szkole pracownia—pensjonat. Dla zamiejscowych kursy przez korespondencję.

NA ŻĄDANIE PROSPEKTY.

NOWY-ŚWIAT № 42. Telefon 87-48.



SKŁAD GŁÓWNY
INSTYTUT
D-ra CALVET
Marszałkowska 120. Ddz. 6

Udoskonalony preparat przeciw zapaleniu oskrzeli, katarowi, kaszlowi i p. zy leczeniu gruźlicy płuc

KAPSUŁKI MAILLET

„EUKALYPTIA“.

Kapsułki MAILLET dezynfekują drogi płucne, ułatwiają wydzielanie się śluzu, szybko usuwają kaszel i poty, wywołują apetyt i wywierają dobroczynny wpływ na ogólne samopoczucie chorego.

Przy każdym zaziębieniu, przy każdym zapaleniu oskrzeli, kaszlu—kapsułki MAILLET są najlepszym środkiem zapobiegawczym przeciw gruźlicy.

Sprzedają w aptekach i składach aptecznych.

Cena pudełka 1 rub. 50 kop.

Należy żądać oryginalnego aluminiowego opakowania z plombą komorową.

Medale Złote na Wystawach higienicznych

50% Oszczędności opału

patent. MULTIPLIKATOR OGRZEWANIA oszczędność węgla;

PIECE ŻELAZNE MULTIPLIKATOROWE z nawilżaniem;

DRZWICZKI PIECOWE nierozpalające się; 7897

SZYBKONAGRZEWACZE wody do kąpiel.

Dr W.P. KŁOBUKOWSKI, inż. Warszawa, Al. Jerozolimskie 71, tel. 15-02.

Włocławskie Młotownie Parowe



J. SZWARC w Włocławku gub. Warszawska.

Polecają różnych typów i wymiarów osie do wozów i powozów, maszynowo odkute i precyzyjnie obtoczone, zapobiegające częstemu pękaniu i wycieraniu się buksów. Wielka oszczędność w smarowidło i oliwie. Kalkulują się taniej od osi ręcznego wyrobu.

Cenniki na żądanie franco.



osiągnąć można stosując czekoladki przeczyszczające „DRASTIN-LUBELSKI”

Wyrobione z najlepszej czekolady szwajcarskiej w postaci tabliczek. Chętnie są przyjmowane przez dorosłych i dzieci. Przychylnie odezwę powag lekarskich.

Pudełko 50 kop.

Żądać w aptekach i składach aptecznych.

Uwaga. Środek ten spożywa się, jak każda inną smaczną czekoladę.

DRASTIN - LUBELSKI

Ofiarności czytelników naszych polecamy ucznia klasy IV-ej szkoły Rychłowskiego, idącego o własnych siłach, a proszącego o pomoc na zapłatę wpisu. Ofiary dla J. S. przyjmuje Admin.

Na dogodnych warunkach!!! Sprzedają i kupują brylanty, złoto, perły i kwity lomb. Placę najwyższe ceny. Magazyn Jubilerski, S. Jakowia. Marszałkowska 100.

Interesujące dla amatorów!!

Fotograficzne karty, zdjęcia z natury paryskiego żanru 30 wzorów, oraz cenników zawierających blisko 150 różnych bardzo interesujących serwi wysyłam w dyskretnej paczce za rb. 1 k. 10, można markami. Za zł. 15 kop. drożej. Adres: M. LIPMANOWICZ, Łódź, gł. poczta.

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok V.

Warszawa, dnia 10 maja 1913 roku.

Nr 19.

Józef Weyssenhoff.

Prawa przedruku i przekładu zastrzeżone
przez autora i wydawców.

GROMADA.

Powieść ziemiańska.

33

XVIII.

Już się była ruszyła ruń pod ciepłym wiatrem odwilży i szare bałki nabrzmiały na wierzbinię, i rozlane na niskich łąkach kałuże przerastały krótką, niby zatopioną w żur, zieleniną — — znowu przymrozek ścisnął ziemię, oszklili stojące wody cieniutkimi szybami, wysrebrzył pola ozime. A przez powietrze sypał nie śnieg zimowy, puszysty i zaścielający, lecz gradzik ostry, pryskliwy na roli, a przekorny człowiekowi, który już poczuł był wiosnę i wydierał się do niej pragnieniem. Ale woda na młyn waliła bez przerwy, drwiąc sobie z takich tam przeszkód, waliła przez oblepione zamrozem zastawy, na wszystkie koła i przez otwarte ślepe upusty. A słońce, już przez pół doby gospodarne, coraz to rozdzierało chmury przekosami błękitnemi, albo i wytaczało na błękit oblicze najjaśniejsze, pod którego wejrzeniem grady prószące kryształili się przez chwilę i nikły.

Z otuchą człowiek wiejski wychodził o świcie przed chatę, badał niebo, pociągał w płuca smakowitego powietrza, dobywał ze stodoły pług, albo wory ze zbożem siewnem ładował na wóz i wychodził w pole, które od tej pory miało się stać jego powszedniem mieszkaniem na długie miesiące, pełne nadziei i zawodów. Tak poczynął gospodarz, przemysłający tylko o swojej chudobie.

Ale Rykoń myślał także o są-

siadach, o gminie, o szerokim kraju — przeto gorętsze miał nadzieje i cięższe troski. Znaczna większość gminaków nie zapłaciła wiosennej raty na budowę domu, a nawet tego, co kapanią wpłynęło, pisarz nie chciał wydawać, póki się całość nie zbierze. Trzeba było na wypłatę mularzom i cieślom użyć trzystu rubli, pożyczonych od Bronieckiego; i tych mogło zabraknąć, jeżeli tak wszystko ma iść do świętego Jana — na ten zaś termin Rykoń zobowiązał się osobiście zwrócić pożyczkę. Dusił więc ruble w skrzyni i na robotach oszczędzał.

Żeby ta jedna tylko bieda! Ale nabierało ich więcej, niby wrzodów około pierwszego w zakaźnej chorobie. Nieprzyjaciele Jana odzywali się, że musi on mieć utajony interes w tym domu gminnym, skoro go tak gwałtem pod dach prowadzi, z uszczerbkiem dla gminy. Bo jakże? — na co Rykonowi szkoła albo ochrona, kiedy niema dzieci? — na co mu miejsce zebrań, kiedy ma sam chałupę wielgachną i w niej swoich kmiotków przyjmuje? — na co mu sklep spożywczy, kiedy ciągle rozjeżdża po świecie, sprzedaje, co chce, w Łowiczu, albo aż w Warszawie, i stamtąd sobie kupuje, co mu potrzebne? — — Nic, tylko mu obiecali panowie za wystawienie tego domu grubą łapówkę, do której się kwapi — i tyle!

Zaprzeczali tym oszczerstwom uczciwsi gospodarze, ale tłoma-

czyli upór Rykonia przy budowie jego znaną zarozumiałością i pychą:

— Sam ci o tym domu bez dwa roki stękał, uchwałę przeformował, nad robotami przełożęństwo wziął, to mu tera nijako ręce odjąć od swojego niby dzieła, żeby mu nie powiedzieli: zawział się i nie zmógł, niedorajda — — To my dla jego honoru tera płacimy i od gęby sobie odejmujemy.

Nawet najbliżsi przyjaciele Jana, przekonani o potrzebie domu ludowego, doradzali pomiarowanie i zwłokę.

— Wieki tego domu nie było, a żyliśmy z łaski Boskiej — mówił Pełka — czy ta on będzie w tym roku, czy w przyszłym, ojej! wytrzymamy! A kiedy ludzie na przednówku do składki są ciężkie, pofolgujmy im do jesieni — —

Niecierpliwił się Rykoń:

— Znam ja was! Żeby wam po piętach nie deptać, a kijem was do pospólnego dobra nie napędzać, wiekbyście cały każdy sobie rzepkę skrobali! Myślałem, żeście, Dominik, lepiej rozumiejący.

Zrażał sobie najbliższych przez swą hardość i nieustępliwość i, chociaż do zamiaru nie osłabł, począł się rozglądać naokoło siebie i miarkować, na kim może się oprzeć, na czyją liczyć pomoc. Gromada gminna, jeżeli nie buntowniczo, to mdło i obojętnie była usposobiona do jego poczynañ; zwracał oczy ku dworom. W okolicy jedyny Broniecki mógł pomódz i pomagał często, radą albo i pożyczką, jak to niedawno uczynił, — ale doraźnie, pod dobry humor; pochłaniały go sprawy własnego gospodarstwa na wsi i jakieś tam w Warszawie. Inni obywatele sąsiedni, Świder-

ski, Družbacki, choć rozsądni i przychylni, mieszała się bardzo rzadko nawet do narad nad sprawami gminnymi, a o pomoc czynną próżno ich było nawet prosić. — Rykoń polegał głównie na poparciu osiadłego stąd daleko Jerzego Godziemby.

Kilka razy tylko go spotkał, a przecie do niego miał niezachwiane zaufanie; Godziemba był znacznie mniej majątny, niż Broniecki, ale należał do silnej, zmówionej z sobą gromady, która, gdy coś postanowiła, czepiała się sprawy tysiącami rąk zgodnych, — gdy potrzebowała pieniędzy, mogła zsypać grosze w przeważne kupy. Godziemba znajdował się niby pośrodku tej wielkiej gromady, naczelną nad wielu, zależny od kilku, ale skupiający w sobie pierwiastek ruchu i mocy, jak serce w organizmie żywym. Gdy on sprawę publiczną popierał, nie była to akcja jednego, choćby najsilniejszego człowieka, ale jakby dotknięcie łącznika elektrycznego, który robocie używał w mgnieniu oka siły stu koni.

Czuł to Rykoń i trzymał się oburącz tego przewodnika ogromnej siły zrzeszenia. Tem bardziej nie chciał w nim obudzić podejrzenia, że jego potężna pomoc może daremny tylko ruch wywołać wśród niespojonej, kłótlivej gromady Mielna.

Pogoda rozkaprysiła się znowu, i od rana sypała z nieba kaszka śnieżna. Rozmyślił się Jan, że groch ma już zasiany, na owies dzisiaj niedobry dzień, więc postanowił stanąć sam z parobkami do obróbki budulca na dom ludowy, dla przykładu i oszczędności. Dał stosowny rozkaz Fudale i Bembeniście.

Ale Bembenista na ławę opadł, ramiona skrzyżował i ponuro zapytał:

— A ileż to my podziennego dostaniemy za tę cudzą robotę?

Rykoń zacisnął zęby, oczy roziskrzył i byłby może poturbował parobka, gdyby przez wrodzoną sprawiedliwość nie uznał nagle jego żądania za uzasadnione, choć samolubne.

— Miałbyś i u mnie dzisiaj robotę, ale kiedyś taki już psia wiara, że się ruszyć nie możesz dla gromady, jeno dla swego kałduna, dostaniesz dwa złote dodatku z kasy budowlanej.

Bembenista kręcił głową, ale wkrótce zdecydował się, pociągnął nosem, wstał z ławy i wziął topór do ręki.

— A Ignac? — zwrócił się Rykoń do Fudały — chcesz także dodatku?

Pokorny parobek podrapał się w głowę:

— Kiej Michałowi, to już chyba i mnie?...

— Tfu! z takim narodem! — splunął Jan — to ja tylko, gospodarz, darmo robił będę.

Ruszyli we trzech, wzięwszy topory, na plac, gdzie dom ludowy budowano.

Właśnie potrzeba było dozoru i pomocy, gdyż mularze czekali na dziewczki do wapna, a przy obróbce belek zabrakło też paru zamówionych najemników. Rykoń rzekł do Fudały:

— Skocz-no, Ignac, do chałup po dziewczki i wyciągnij z pod pierzyn te śpiochy!

— Tobym i ja poleciał! — ofiarował się Bembenista.

— Nie; tuś mi potrzebny.

Kazał mu trzymać sznurek, według wskazówki głównego cieśli, na jednym końcu nieobrobionej jeszcze belki, sam zaś przytrzymał sznurek na drugim końcu. Cieśla uczernił suto sznurek zwęgloną głownią i wyrzucił go po granicy odcięcia oszastu od kłoca. Potem napięty sznurek uniósł trochę pośrodku i puścił — na białym miąższu sosny zarysowała się węglem żądana linia.

— Tera mi tu, Michał, obrobisz belkę po lenii do ostrego kantu — rzekł Rykoń — tylko sumienie! Robota płatna — jak mi „śledzia“ zrobisz, nie zapłacę.

Westchnął grubo Bembenista, okraczał belkę i jął dziabnąć toporem.

A Rykoń przygotował z cieślą zadanie dla Fudały, potem dla siebie, zrzucił kożuch i wziął się szczerze do toporowania.

Śnieżna kaszka sypała wciąż z nieba, szemrać i odpryskując od rozrzuconego budulca, więznąć cicho w żółtym kobiercu trocin. Ale gorąco było przy ziemi, przy robocie; powoli i obaj parobcy Rykonii i inni robotnicy ciesielscy zrzucili kożuchy, pozostając w lejbikach, spencerach lub kamizelach. Zagrały barwami szaty wierzchnie, amarantowe i czarne, spodnie jaskrawo pasiaste, księżackie — niby rój pstrokatych dzieciółów obsiadł smolne, pachnące drzewo i kuł je żelaznymi dziobami toporów. A w pobliżu ptasim też głosem świstała piła w kłodzie sosnowej, położonej na wysokich kobyłkach. W innej stronie mlaskał mokro mur pod

kielniami, zaledwie nad poziom dźwignięty, ale już wymiarami swego zakładu obiecujący. I taka się zawzięła wesołość w tej ciężkiej pracy pod opryskliwym niebem, że dziewczuchy od wapna zaczęły śmieszna piosenkę, przytupując po chodnikach drewnianych, a podśpiewywał i niejeden z robotników ciesielskich. Nawet Bembenista zagrzał się, zabawił w tym pracowitym gwarze i, skończywszy wyznaczone zadanie, odskoczył od belki, wołając ochoczo:

— Ejże, robotą gracka! prościusieńka!

Dom budowano przy samym placu przed kancelaryą gminną, gdzie się kręciło ciągle trochę ludzi. Zawsze też ktoś, czy zwolennik, czy przeciwnik budowy, zatrzymał się, aby popatrzeć na wielki warsztat, z którego, bądź co bądź, wyrośnie dziwowisko, dom ludowy. Tem bardziej dzisiaj zatrzymywali się przechodnie, poznając między robotnikami samego Jana Rykonii. Zagapiło się kilku chłopów i kilka bab z dziećmi, a że kupa przyciąga do siebie, więc każdy, kto przechodził, musiał choć na chwilę przystanąć, zadając sobie najprzód pytanie, czy też Rykoń za pieniądze robi, czy z łaski i ochoty? — —

Przechodził prędko młody gospodarz, Żulek, jakby się bardzo do czegoś śpieszył. Ale, poznawszy Rykonii, zboczył z drogi i przez belki i wióry dopadł do niego:

— Bójcie się Boga, Janie! toście wy do prostych robotników przystali?!

— Jako widzicie: dom dla wszystkich, niech wszyscy ręki przyłożą.

— Za darmo robicie?

— Jużci za darmo: wstydy gospodarzowi za taką robotę pieniądze brać. Parobkom swoim dokładam za dzisiaj, bo pożyteczności pospólnej nie rozumieją.

— Poczekajcież! — rzekł zapalczywie Żulek — to i ja po topór dla siebie skoczę — jeszcze tam może kogo namówię — —

— Toś mi brat, Żulek! Idź-że i powracaj, a chybko — —

O dziesiątej wypoczynek nastał zwyczajny na śniadanie. Anastazy przyniosła dla Rykonii i parobków gorący posiłek. Za grubą i niezgrabną dziewczką szła druga, całkiem innej urody, z zapaską, narzuconą na głowę. — — Poznał ją niebawem Jan po wielkich, zapatrzonych na niego oczach i po twarzy gładkiej a bledszej, niż

miały je dziewczyny polne. Poznał ją Jan i chwycił go za serce radosna pewność, że ta jedna jest mu oddana całą duszą.

— Magdusia?!... co wy tutaj?

Olczakówna uściśnęła, długo milcząc, wyciągniętą dłoń Jana; potem rzekła uroczyście:

— Już ja wam wytłumaczę; zjedzcie tylko najprzód śniadanie.

— To se chodźmy tam dalej, na te belki pod stodołę. Pod okiem nie tak w oczy prószysz i będziemy na widoku ludziom, wedle przyzwoitości.

Rozmówianemi oczyma podziękowała Magda Janowi, że łaskawie chce z nią gadać.

DCN.

Alfred Konar.

(Wszelkie prawa przedruku i przekładu zastrzeżone).

Młodość panny Mani.

8

Powieść.

— Panno Maniu! — ujmowali się za nią z drugiego pokoju starzy — czemu pani pozwala sobie przeszkadzać tym panom, którzy mogliby pójść na gawędkę do Udziałowej.

— Ach! Mamuty! Mamuty! Więc przed potopem w redakcyach nie rozmawiano?

— A! Nareszcie! Telefonowali z drukarni, że czekają na korektę garmentu — zwróciła się do wchodzącego, zmokłego do nitki, brudnego, chudego Dębskiego, zajętego odwijaniem spodni i strząsaniem ociekłej od deszczu peleryny, którą znała całą Warszawą, a szczególnie Udziałową.

— Dobrze, dobrze! Psiakrew! Pogoda! Zdechnę tu u was w tym klimacie. Znowu kataru płuc się nabawię. Gdybym choć sto blatów zaliczki na moją powieść wy dostał — dziś bym wyfrunął na Riwierę.

— Przecież sam bilet tam i z powrotem tyle kosztuje.

— A któż myśli zaraz o tak dalekiej przyszłości, jak powrót? Chodzi tylko o koszty w jedną stronę. Dostałem od Warszawiera na krede bilet loteryjny na szpilgeld do piątej klasy. Ale... mam bardzo wiele ciekawych wiadomości do opowiedzenia. Poczciwe nasze Nowiny dowiadują się wiecznie o wszystkim ostatnie.

— Cóż się stało?

— Tylko prosimy, aby te wiadomości poza sensacją były jeszcze i prawdziwe.

— Paradni jesteście! Wiem z najdokładniejszego źródła — błogawał ze swoją manią szczytowania się urojonemi wielkimi koligacyami — od samego księcia Zygmunta Jundzill, u którego mój cioteczny wuj był wczoraj na herbacie. Właściwie nie był u nich, lecz u ich krewnych z Podola, którzy tę wiadomość z ust księcia usłyszeli.

Otóż Tomasz Jundzill, nasz „pryncypał“, właściciel Nowin, którego, wyrażając się pięknie, chleb jemy, przegrał jednego wieczora w tym tygodniu w jednym z pierwszych klubów londyńskich do księcia Connaught pół miliona dolarów.

— Czy to być może? — obrzucili się wystraszonemi spojrzeniami.

— To może być, niestety, prawda. Zawsze był graczem. Connaught — to dobra marka — tryumfował Dębski, dumny z wrażenia, jakie sprawił. — Wobec Europy nie jesteśmy więc wcale skompromitowani. Przeciwnie, książę postąpił bardzo po rycersku. Cała przegrana jest już w zupełności uregulowana. Lecz jest potrosze zrujnowany. Nie ulega żadnej kwestyi, że poczyni w swoim budżecie wydatków oszczędności. Nie wiem, czy pozbędzie się stajni; lecz ręczę wam, że wycofa się z Nowin.

— Obetną nam pensję i honoraria od wiersza — zawyrokowała bardzo przejęta tą wiadomością panna Mania. — I zechcą zmniejszyć może personel redakcyi.

— Niech mi wymówią miejsce — rzucił uszczęśliwiony swoim pomysłem Dębski — i niech mi dadzą trzymiesięczną pensję; wyjechałbym zaraz do Paryża.

— To wszystko mogą być jeszcze fałszywe alarmy.

— Nie, nie. Czy słyszycie te głosy „w ścieralni zdań“? (Tak ogólnie nazywano oddzielny gabinet redaktora). Zamknęli się na klucz. Tam się coś święci. Jest książd, mecenas Kamiński, stary Kunke, cała gwardya.

— Rzeczywiście, coś niezwyklego stać się musiało — zaniepokoiła się cała redakcyja.

VI.

W „ścieralni zdań“, przeciętnym warszawskim gabinecie, oddzielonym cienką ścianą z górnem okienkiem od ciemnego przedpokoju, wszyscy zebrani goście mieli miny bardzo wydłużone. Był to sztab generalny redakcyi, nie dopuszczający do swoich narad Reutza, który był jedynie krawcem, lecz nie krojącym redakcyjnym, ani bardzo niepewnego Fabera, ani śmiesznego ze swoją kiepską francuszczyzną i urojonemi koligacyami Dębskiego.

Prezylujący na zebraniu, redaktor Leonard Kacperski (który, według kursującej anegdoty, różnił

się tem od Leonarda da Vinci, że ten drugi malował Wieczerzę Pańską, a pierwszy wieczerze pańskie zjadał), miał najszczerzy i najgłębszy, bezkrytyczny kult dla magnatów.

Sam z uczciwej rodziny drobno-mieszczkańskiej pochodzenia chłopskiego (z zarzuconem nazwiskiem Kacperek), wstydział się jej i stosunki z nią oddawna zerwał. Postawny, siwy, z uczernionym starannie wąsem, z wieczną perłą w ciemnym krawacie, przesadnie wytworny, korzył się w bezkrytycznym transie zachwyty nad każdym najbanalniejszym zdaniem bylejakiego umiłowanego młodzieniaszka. Nie był to żaden pietyzm dla potomka zwycięzców z pod Wiednia, lecz jakieś niezrozumiałe u człowieka pozątem inteligentnego medyumistyczne oszołomienie pod urokiem magnackiej pompy w wielkopańskich rezydencjach, w których za studenckiej młodości, jako guwerner, przebywał; a teraz nie dowierza własnemu szczęściu, że do ich towarzystwa należy.

Nie była to nawet z jego strony wdzięczność za synekurę w redakcyi subwencyjonowanego możnowładczego dziennika i nawet nie snobizm dobrokiewicza, pchającego się do tak zwanych wyższych sfer towarzyskich; lecz jedynie ten niezrozumiały bałwochwalczy fanatyzm i instynktowny, jakby atawistyczny, serwilizm pańszczyźnianego niewolnika.

Kierujący nawa „Nowin“, dziennika partyi P. P. (prawdziwych polaków), monarchiczno - klerykalno-konserwatywno - możnowładczego, pan Leonard Kacperski klepał pocziwie po ramieniu szlachcie, miłował platonicznie zdrowy, piękny lud z księżycą w pięknych, teatralnych, jasnych siermięgach, po pas kłaniający się z czapkami z piórkiem w rękach w sieniach pałacowych; ów pocziwy lud polski, o ile, rzecz prosta, był wdzięcznym swoim dobroczyńcom za wszystko, co się dla niego robi: za ufundowany szpitalik, szkołę (którą się zajmują same jaśnie panienci) i za nową kaplicę.

Tolerował nawet od biedy żydowskich pachciarzy z warunkiem, aby z krymkami kłaniali się po pas jaśnie panom nie w sieniach pałacowych, lecz, jako gorzej jeszcze od chłopów woniejący, zdaleka przed bramą pałacową.

A nienawidził jedynie radykalnej inteligencji, krytykującej zasadnicze kwestye, nie podlegające krytyce, i płaskiego, bez wielkich legend i tradycyi mieszczaństwa, a głównie robotników, z ich wstrętnemi ideałami ekonomicznej natury.

Sam pobierał 10 tysięcy rocznej pensyi.

Zresztą, cała ich partya, jak jeden mąż, śpiewała na pamięć, bez zajknięcia, cały swój repertuar.

Chwaliło się bardzo szczerze i bez umawiania się tylko pewne obrazy, tylko pewne poematy, pewne

nazwiska, pewne stowarzyszenia. Lecz że zupełnie jednakowo wszyscy się tem zachwycali, nudno było o tem unisono rozprawiać.

Rozprawiano więc jedynie o sklepikach z przeciwka z nieprawdziwymi świętościami; o dziennikach, artystach, stowarzyszeniach, które siały zagładę kraju, i o ludziach, zdrajcach, nędznikach i głupcach, tykających się grubemi rękoma niepełnej krwi subtelnych wieżyczek świątyni narodowej, tak wiotkiej w ich pojęciu, że ze zmianą jednej, uświęconej od wieków cegielki, cały budynek mógł runąć.

Pewnie rękoma pewnej krwi były w ich pojęciu ręce magnatów o wielkich nazwiskach, choćby rodziny te od wieków przebywały poza krajem, mówiły jaknajhaniebniej po polsku i koligowały się od całych generacji z wielkimi rodami Francji, Anglii i Niemiec.

Lecz najzaciętszym wrogiem wszystkich partii politycznych, podług niego, żydowsko-kosmopolitycznych, z wyjątkiem P. P. — był stary Kunke, autor jedynego dramatu p. t. „Sobieski“, ongi nie cenzuralnego, a wystawionego ze średnim powodzeniem w Krakowie.

Syn stolarza-niemca, po powrocie z niedobrowolnej podróży do Tomska, w którym kilka lat przesiedział, od 40 lat był dość hojnie nagradzanym wicedyrektorem Nowin do których przychodził codziennie o godz. 2-giej; a siedział i wymachiwał palcem w bucie we wszystkich kwestjach społecznych, politycznych i artystycznych aż do obiadu, t. j. do godziny 3.

Był bardzo dobrym polakiem, lecz strasznym waleńkiem. Od 40-tu lat, od czasów Sobieskiego, nie napisał ani jednego wiersza.

Wstawał codziennie o godzinie 1-ej i twierdził, że w tych warunkach politycznych, w jakich my się znajdujemy, pracować nie można.

Nienawidził przybyszów, takich, jak on sam, dobrych polaków, od stu lat zamieszkałych u nas. I miał te same uśmiechy dla wielkich panów, co i redaktor Leonard, z którym, choć żyli w wielkiej przyjaźni, w gruncie bardzo nie lubili się. Kunke twierdził, że dystynkcyja pocztowego Kacperka traci nieco Starem Miastem. A estetyczny redaktor Leonard niezmiennie powtarzał sobie w duszy, krzywiąc się:

— Cóż na to poradzić! Mam uczucie, że tego przezacnego Kunkego wiecznie czuć stolarskim klejem!

W skromnej sypialni Kunkego, z ukrywanymi jaknajskrzętniej poszufladach podobiznami rodzonej siostry, rzeźniczki z Pragi, i brata, konduktora tramwajowego, wisiała nad łóżkiem jedynie fotografia księcia Jundzillla.

W wytwornym gabinecie redaktora Kacperskiego na biurku z bronzami wśród gracików — lśniły w pięknych ramkach jedynie podobi-

zny w różnych pozach hrabiostwa Krasnohorskich, ich dzieci i wnuków.

Z żydów cenili, nawet honorowali, wydrwiwając poza oczami krzywizny ich nosów, jedynie barona Feinsteina i konsula Goldfisa, dwóch zażartych wzajemnych antagonistów, którzy jednak, należy im to przyznać, najsumienniejsze ze wszystkich opiekunów łatali bilansowe dziury „Nowin“; byli zresztą gorliwymi katolikami i jeszcze gorliwszymi antysemitami, nienawidzącymi wszystkich żydów, z jedynym wyjątkiem samych siebie.

— Jest to kompromitacja całej naszej partii, — oburzał się sangwinistycznie ze swoją manią nazywania rzeczy po imieniu, wbrew dogmatom partyjnym, źle dopasowany do towarzystwa mecenas Kamiński, tolerowany z musu, jedynie dla swoich wybitnych zdolności, lecz nie przyjmowany w salonach magnatów, którzy, jak piękne kobiety, chcą być podziwiani, lecz nie sądzeni. — Ten skandal ośmieszy nas wszystkich.

— Ostatecznie, nie jest skandalem wydawać własne pieniądze.

— Nie można mierzyć wszystkich jedną szewką miarą — politykował jak najlepiej urodzony ksiądz prefekt Wiśniewski, ulubieniec salonów w guście francuskiego abée, ze swoją wygoloną twarzą ładnego aktora, wygimnastykowaną znakomicie do ukrywania swoich szczerych przekonań i myśli.

— Ja przyznaję — zaperzył się, przyciśnięty do muru, redaktor — że nie potrafię z arbitralnością mecenas polemizować. Takie objawy należy traktować szerzej, jak słusznie zauważył ksiądz prefekt. Nie wszystkich można sądzić jednakową szewką miarą. Hrabia posiada pewną magnacką dezygnację postępowania, a na taki gest nie każdego stać. O skandalu (protestuję specjalnie — uśmiechnął się bardzo dystygowanie — przeciwko temu już zbyt jasnowemu wyrażeniu!) nie może być tu mowy. Dług karciany hrabiego był spłacony w ciągu 24-ch godzin. W całym klubie uznano go za gentelmana bez zarzutu.

— Rzeczywiście, wzruszająca jest ta łaska klubu — ironizował niepoprawny mecenas Kamiński. — Posiadam faktycznie za mało finezyi do odczuwania niektórych subtelności, które wydają mi się ohydą. Wy jeszcze solidaryzujecie z przysłowiem, że wielkiemu panu i kpu wszystko wolno. Niech by tam zresztą powiększył swoją osobą, po przegraniu w karty całego majątku, grono kandydatów na konduktorów tramwajowych; lecz cóż uczynią współpracownicy naszego dziennika, którego nie przeceniam doniosłości; chodzi mi głównie o naszych literatów, publicystów, administrację, drukarnię, aby ci wszyscy nie osiedli na koszu.

— Musimy dać sobie radę — zbył go heroicznie redaktor — pozmniejsza się honorarya, zredukuje

się trochę personel. Jakoś tam będzie!

— Nie należy być takim pesymistą — uspokajał go ksiądz Wiśniewski. Należy przebaczać winy swoim bliźnim.

— Naturalnie, bliźnim z własnej partii politycznej, prawda? Trudno! Nie potrafię nigdy zamykać oczu na zalety naszych przeciwników i na wady moich przyjaciół. To już wina ustroju mego mózgu.

— Raczej serca. Sercem patrz, nie mózgiem. Rzecz najważniejsza — uczył ksiądz Wiśniewski — w tej sprawie — pamiętajcie, to dyskrecja! Któż z nas bez win? Skruszonemu Pan Bóg wiele przebacza. O rzeczach złych nie mówi się. Zamkniesz oczy i już ich nie ma. Chodzi jedynie, aby zgorszenia nie było.

— Więc wasza moralność polega nie na faktach, lecz na pozorach? — zaczęli ścierać zdania.

— A naturalnie! — zgodził się pan Leonard Kacperski, znudzony brutalnością tej rozmowy w tonie, w jakim wielcy panowie nigdy rozmów nie prowadzą. — Inną jest moralność zamkniętego pokoju, a inną moralność ulicy. Nawet małe dzieci o tem wiedzą — dowodził bez owego uśmiechu, który rozpromieniał mu twarz jedynie w obcowaniu z magnatami.

— Naturalnie, z wyjątkiem wszystkich dzienników liberalnych i wieców, chorych na exhibicyonizm — piorunował stary Kunke.

— Sądziłem, że gangrenę się wycina.

— Wycinanie gangreny nie pomaga, a obnażanie ran szkodzi; poza zarazą jest to jeszcze nieestetyczne, wstrętne... Wasi abstynenci, lubujący się w jaskrawych opisach rozpusty, lepiejby czynili, aby abstynowali się w mowie.

— Właśnie — potwierdził ksiądz prefekt — dlatego sugestyonowałem wam dyskrecję. Taka przegrana — to świetna gratka dla naszych przeciwników.

— Niech tylko wiadomość ta dostanie się do szpał kochanej postępowej prasy, zaczną wypisywać takie androny — trząsł się z oburzenia stary Kunke.

— Trudno. Na to rady niema — filozofował Kamiński.

— Panowie wybaczą mi — zakończył, powstając z siedzenia, redaktor Leonard, hamując się, wyjątkowo zły — lecz nie mogę dłużej w tym tonie prowadzić dyskusji. Nie winię nikogo, jedynie swoje nerwy. Zresztą, jestem dziś na obiedzie u pani hrabiny Krasnohorskiej, gdzie mamy dyskutować w kwestyi założonej przez nią w Krasnopolach kolonii letniej dla słabowitych szwaczek.

— Ach! Wiem — rzucił nieznośny dziś mecenas Kamiński — wśród tych stawów zamulonych przerobiła stary spichrz czy też stodołę.

DCN.

Przyszły naprzód germany silne, rudowłose
I wyróżniły do szczytów to słowiaństwo bosc,
Co w chatach swych ubogich siedziało spokojne,
Zagapione na lewo, kiedy Niemce zdrojne
Szły właśnie z prawej strony... Zginał lud wyróżniony.
Jeszcze się tu po nocach z wielkimi lamenty
Błąkały cieniem nikłym — wymarłe plemiona.
I mówił pełny trwogi margrafa Gerona
Młody syn, co go wiecznie straszą te cmentarze:
— Ojciec, pomordowanych znów widziałem twarze! —
— Głupis, rzecze do syna stary margraf Gero.
Jesteś zdenerwowany — męczysz się chimera.
Do Weissenhirscha pošlem ciebie na kuracyę,
Na Sonnenkur i Luftkur, na elektryzację...
Wybornie ci też zimne posłużą natryszy. —
— Ojciec mój, zapach trupów czuję ciągle blizki! —
— Halucynacya nosa! — — Ojciec, trupy cuchną —
To próchno! — — Co ty mówisz? Przecie jeszcze Próchno
Nie wyszło. Długo czekać trzeba na Berenta.
Teraz my tu kultury kładziem fundamenta.
Niech no tylko zasiądziem mocno nad Pomorzem,
Zbudujemy tu porty — i ziemię zaorzem.
Zalozymy kurorty, browary, kawiarnie,
Bazary i koszary, szkoły i księgarnie —
I uniwersytety będą i gazety...
I cóż ciebie obchodzą widma i szkielety?
Humanitarne będziemy szerzyli idee,
A te widma cmentarne... to są zwykłe dzieje.

Spojrzyj w JUTRO... Tak margraf uczy swego syna.
Ten patrzy — i wyróżnionych słowian zapomina.
Serce mu się przyszłością raduje szczęśliwą!

Ludzie siedzą w kawiarniach, piją sobie piwo,
Grają w bilard, gawędzą, czytają gazetki,
A starsze panie robią na drutach skarpetki.
Ulicą artylerya idzie, krzycząc: hura!
Widać cejghaus, armaty... No, słowem, kultura!
Przy kawiarni ogródek. Niebieska sukienka
Szeleszcze po alei. Krąży tam panienska,
Słodka, a rozrośnięta, jak sama Demeter —
Grätchen, wyjęta niby wprost z „Fliegende Blätter“.
I na tem cmentarzysku, na tych szarych prochach,
Na tych niezamilkniętych lamentach i szlochach,
Na tej zgniliznie trupów — i wymordowanych
Plemion popiołach, na tych dawną krwią zbryzganych
Czarnoziemach — zasadza kolorowe kwiatki —
Gwoździki, niezabudki, pelargonie, bratki —
Sentymentalne, pełne znaczenia symbole:
Przyjaźń, miłość. Te kwiaty wianuszkami na czole
Ułoży. Ona kocha ludzi, kwiaty, ptaki...
Na drzewie zawiesiła maluteczki taki
Niby domek, a w domku ziarnka... niech ptaszyny
Pożywią się... Tak smutno, gdy z głodu przyczyni
Giną stworzenia boże... Niech człowiek pamięta,
Że trzeba także kochać i drobne ptaszęta!

E. M. Dell.

SZLAKIEM ORŁA.

Przekład z angielskiego H.J.P.

19

XXIII.

Muriel była niewypowiedzianie wdzięczną Daisy, że ta, winszując jej zaręczyn, nie wspominała ani słowem o Nicku. Nie wiedziała jednak, że Daisy czyniła to na wyraźne żądanie samego Nicka, który wymógł na niej obietnicę, iż nigdy, w żadnym wypadku, nie będzie o nim mówiła z Muriel.

Dla tej ostatniej nastąpiły teraz dni nieznanego jej dotąd upojenia. Było z nią tak, jakgdyby nagle wyswobodziła się z jakiegoś samotrzasku, w którym szamotała się długo, i pławiła się w poczuciu odzyskanej swobody. Młodość wracała do niej w podmuchach wiosny.

Zachowanie się Ralfa względem niej było bez zarzutu. Jego łagodność pociągała ją zawsze, a zażyłość, jaka się pomiędzy nimi wytworzyła, dodawała wdzięku ich wzajemnemu stosunkowi. Nie rozmawiali nigdy o Nicku. Ale na dnie serca Muriel leżała kojąca świadomość, że już nie potrzebuje obawiać się niczego. Była przekonana, że, cokolwiek się stanie, Ralf się nią zaopiekuje. Alboż nie był tym, którego od początku

byłaby sobie obrała za opiekuna, gdyby jej było danem wybierać!

Tak więc spokojnie i szczęśliwie mijały dni, i marzec się już kończył, gdy nagle padł grom, którego niszczące skutki miały być nieobliczone.

Pewnej nocy Muriel usłyszała stukanie do drzwi swojej sypialni. Zerwawszy się z łóżka, zobaczyła aję, wystraszoną i marmurującą coś niezrozumiale o „baba“ i „mem-sahib“. Muriel domyśliła się, że dziecko zachorowało. Zarzuciwszy pośpiesznie szlafroczek, pobięła do jego pokoju.

Zastała w nim Daisy, chodzącą tam i napowrót z dzieckiem na rękach. Ujrawszy Muriel, wyszeptała ledwo dosłyszalnym głosem:

— Idź do Ralfa! Idź prędko! Powiedz mu, żeby sprowadził Jima Ratcliffe. Prędko! prędko!

Muriel wybiegła. Była tak wystraszona, że nie zastukawszy nawet, wpadła do pokoju Ralfa. Ciemno tam było zupełnie; on jednak obudził się natychmiast.

— Kto tam? Co się stało? To ty, Muriel?

— Och! Ralfie! — wybełko-

tała. — Dziecko zachorowało. Potrzeba nam doktora.

Zerwał się w mgnieniu oka. Słyszała, jak szukał zapalek; ale ich nie znalazł, tylko coś zrzucił na ziemię.

— Nie możesz znaleźć? — zapytała. — Czekaj. Przyniosę światło.

Pobiegła do swego pokoju po świecę. Ręce jej się tak trzęsły, że zaledwie mogła ją zapalić. Wróciwszy, zastała Ralfa ubierającego się pociemku. Był tak samo wzburzony, jak ona.

Gdy stawiała świecę, w pokoju Daisy rozległ się nagle przeciągły, wstrząsający jęk.

Muriel skamieniała.

— Och! Co to takiego?

Grange, naciągający kurtkę, wstrzymał się również.

— To ta przekłeta aya — rzekł z wściekłością.

I w tej samej chwili Muriel pojęła wszystko. Aya Daisy zawodziła po umarłym.

Muriel zatkała sobie uszy. Krzyk ten przenikał ją nawskroś. Wnet jednak przypomniała sobie Daisy i pobięła do niej. W korytarzu natknęła się na służbę miejscową, wystraszoną i szepzczącą pomiędzy sobą.

W pokoju Daisy Muriel zobaczyła aję, siedzącą na posadzce w kucki i kołyszącą się w tył i na-

przód. Indyanka biła się w piersi, nie przestając zawodzić. Drzwi od dzieciennego pokoju były zamknięte.

Muriel przyskoczyła do *ayi*, dygocąc z gniewu. Porwała ją za ramiona, nakazując jej być cicho, a gdy to nie pomogło, powlokła ją do swego pokoju, wepchnęła do wnętrza i drzwi na klucz zamknęła. Poczem wróciła do Daisy. Zastąpiła ją siedzącą na bujaku przed kominkiem i kołyszącą się z lekka z dzieckiem u piersi. Popatrzyła na wchodzącą Muriel z kamiennym spokojem.

— Czy Ralf poszedł? — spytała tym samym suchym, bezdźwięcznym szeptem.

Muriel zbliżyła się i uklękła przy niej.

— Już idzie — zaczęła, ale słowa zamarły jej na ustach, a serce w piersiach. Bo jeden rzut oka na maleńką, woskowo-żółtą twarzyczkę, przytuloną do piersi Daisy powiedział jej, że dziecko umarło.

Przez zamknięte drzwi dochodziło stłumione zawodzenie *ayi*.

Daisy poruszyła się niecierpliwie.

— Popraw ogień — szepnęła. — Jemu tak zimno.

Ale Muriel nie spełniła polecenia. Natomiast wyciągnęła ręce.

— Pozwól mi go wziąć — prosiła drżącym głosem.

Daisy wstrząsnęła głową, przyciskając zazdrośnie dziecko do piersi.

— Biedaczek; tak się nacierpiał — wyszeptowała. — To go tak nagle zaskoczyło. Nie mogliśmy mu nic poradzić. Ale teraz mu lepiej. Myślę, że zasnął. Nie trzeba mu przeszkadzać.

Muriel nic nie odrzekła. Wstała i przez lzy zaczęła poprawiać ogień. Poczem, nie mogąc znieść widoku Daisy, kołyszącej swe umarłe dziecko z tą kamiennospokojną, trupio-błądą twarzą, wyszła z pokoju, ostrożnie drzwi za sobą zamykając.

Kazała służącym iść do kuchni rozniecić ogień, a sama udała się do jadalni, aby tam czekać na doktora. Była boso, trzęsła się z zimna, nie chciała jednak wracać do swego pokoju po pantofelki. Czuła, że nie znieśie tego okropnego zawodzenia, które i tu dochodziło od czasu do czasu, stłumione oddaleniem. Pozatem, iście grobowa cisza panowała w całym domu.

Muriel zaczęła zastanawiać się, czy Ralf poszedł do doktora

najkrótszą drogą przez łąkę, i obliczać, kiedy obaj nadejść mogą.

Czekanie stawało się czemś nie do zniesienia. Niewiadomo skąd, przyplątało jej się wrażenie, że Nick jest gdzieś blisko. Zdało jej się, że lada chwila wejdzie swym sprężystym, szybkim krokiem i stanie przy niej. Parę razy odwróciła się ze drżeniem, aby się upewnić, że jest sama.

Wreszcie dało się słyszeć stuknięcie ogrodowej furtki. Przyszli zatem przez łąkę. W księżycowym świetle ujrzała dwie męskie, postacie, zbliżające się do domu.

Pobiegła do drzwi wchodowych i otworzyła je narozcież. Pęd zimnego wiatru owiał ją od stóp do głowy, ale nie czuła tego, choć usta nawet miała zlodowaciałe.

— Zapóźno — szepnęła do wchodzącego doktora. — Zapóźno!

Jim Ratcliffe wziął ją za ramiona i wepchnął prawie do wnętrza.

— Idź i włóż co na siebie — rzekł — natychmiast.

Było coś nieprzepartego w nakazującym dźwięku jego głosu, Muriel usłuchała instynktownie, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi.

Aya przestała zawodzić głośno. Jęczała teraz cichutko, jak nieme stworzenie, które cierpi. Muriel ubrała się pośpiesznie, zwinęła włosy w gruby węzeł drżącymi palcami i bez szelestu wsunęła się do dzieciennego pokoju.

Daisy wciąż kołysała swój żaloszny ciężar na łonie. Doktor stał pochylony nad nią, a ona pośpiesznym szeptem opowiadała mu, co zaszło.

Słuchał spokojnie z oczyma, utkwionymi w twarzyczkę dziecka. Gdy skończyła, pochylił się jeszcze niżej.

— Daj mi go wziąć — rzekł.

Muriel zadrżała, przypominawszy sobie, jak namiętnie Daisy sprzeciwiła się jej w tym samym względzie. Ona przecież nie oparła się teraz. Uległa prawie machinalnie.

Tylko gdy doktor brał martwe ciało na ręce, szepnęła z jakimś obłędnym wyrazem oczu:

— Ale go pan nie obudzisz?

Jim Ratcliffe milczał chwilę, patrząc na maleńkiego trupka. Poczem bardzo łagodnie, bardzo litośnie, ale niemniej bardzo wyraźnie rzekł:

— On się już nigdy nie obudzi.

Daisy zerwała się na równe nogi, straszna w swej rozpacz.

— Doktorze!... doktorze!... — To nieprawda!... On nie umarł... bełkotała zdławionym głosem. — Mój kochaneczek... moja dziecina najdroższa... moje wszystko... Och! to być nie może... On nie umarł!

Pochyliła się nad ciałkiem, wpatrując się w nie z dziką rozpaczą.

Doktor spokojnie zakrył twarzyczkę dziecka kołderką.

— Moja droga, — rzekł — śmierć nie istnieje.

Wymówił tych parę słów półgłosem, ale Muriel zatrzęsła się, usłyszawszy je, na całym ciele. Po raz pierwszy uprzytomniła sobie, ile było podobieństwa pomiędzy tym człowiekiem, którego szanowała i lubiła, a tamtym drugim, który ją strachem przejmował. Wydało jej się, że to Nick sam wypowiedział te słowa. Stojąc milcząc przy drzwiach, widziała, jak doktor kładł biednego trupka do kołyski; widziała, jak Daisy z twarzą, ściągniętą nieopisanym bólem, wyciągnęła nagle w górę puste ramiona.

Wówczas, tknięta kobiecym instynktem, poskoczyła i chwyciła upadającą nieszczęsną matkę w objęcia.

XXIV.

Na Równiach indyjskich panował upał szalony. Lekka briza, która podniosła się o zachodzie słońca, ustąpiła już dawno miejsca dziwnej, przytłaczającej ciszy.

Siedzący na werandzie przy stoliku mężczyzna pisał coś pilnie, mając rękawy od koszuli zawinięte wyżej łokci. Od czasu do czasu wzdychał ciężko, jakgdyby ta dusząca atmosfera gniotła mu piersi.

Był to bardzo młody człowiek z twarzą, starannie wygoloną, chłopięcą prawie, choć był w niej wyraz jakiegoś znękania, dziwnie nie licujący z tą młodzieńczością jego wyglądu. Oczy miał zmęczone i krwią nabiegłe; pracował jednak gorliwie, nie odrywając ich od papieru, który leżał pod jego ręką. Nawet gdy w pokoju tuż za nim rozległy się jakieś kroki, nie obejrzał się.

— Zaraz, zaraz, mój drogi, — wymówił, nie przestając pracować. — Mam tu coś dyabło pilnego. Ale skończę za chwilę.

Nie było odpowiedzi. Postać mężka w białym, płóciennym ubraniu, z lewą ręką, zgoła niewidocz-

na pod rękawem marynarki, stanęła na chwilę we drzwiach; poczem zwolna zbliżyła się do sto-
lika.

W świetle wiszącej lampy ukazała się żółta, poorana zmarszczkami twarz i dziwnie przenikliwe, palające w półcieniu oczy.

Postać ta pochyliła się nad pracującym.

— Dobrze, dobrze,—przemówił zlekka chrapliwy głos. — Skończ, co masz do roboty.

Przybysz umilkł i z zajęciem przyglądał się posuwającej się po papierze ręce. Gdy zobaczył, że się zatrzymuje, przemówił znowu:

— Skończone?

Siedzący mężczyzna wyciągnął przed siebie oba ramiona ruchem najwyższego znużenia. Wnet jednak zerwał się z miejsca.

— Co ja robię najlepszego, pozwalając ci stać tutaj! Siadajże, Nicku! Tak; na teraz skończyłem. Jakiż niespokojny duch z ciebie! Że też chwili uleżeć spokojnie nie możesz.

Nick wykrzywił się.

— Nigdy nie posiadałem tego talentu. Zresztą, po co? Gdybym miał umrzeć, to co innego; a nawet wtedy, myślę, że wolalbym umrzeć stojący. Jakże ci idzie, mój synu? Co znaczą te hieroglify?

Osunął się na krzesło, wskazując palcem pokreślony papier.

— Och! nie zrozumiałbyś, choćbym ci nawet powiedział — odrzekł tamten. — Nie jesteś inżynierem.

— Ani nawet smarownikiem — przyznał Nick skromnie. — Ale niepotrzebnie wykluwasz mi tem oczy. Zapewne zrobisz niedługo majątek, wówczas wszystko troje — ty, Daisy i malec, będziecie używali życia. Szczęśliwiec z ciebie, Willu.

— Myślisz? — rzekł Will.

Pochylił się znów nad swoją robotą. Głos jego miał jakieś nieujęte brzmienie.

Nick popatrzył na niego i nagle położył prawą rękę na stole.

— Daj sobie z tem spokój — rzekł. — Przpracowywasz się. Zapomnij choć na chwilę o tych przeklętych obliczeniach i pogadajmy sobie przed obiadem. Przywiozę ci żonę na przyszłą zimę. Zobacysz.

Will zwrócił się ku niemu żywo.

— Och! gdybyś tylko mógł!

— Gdybym tylko mógł! — powtórzył Nick. — Powiadam ci, że ją przywiozę. Chcesz się założyć?

Ale Will wstrząsnął tylko głową z jakimś nieokreślonym uśmiechem.

— Ot! zapalmy lepiej cygara... To ci dobrze zrobi na te twoje przeklęte, newralgiczne bóle. Jak to jednak pocziwie z twojej strony, żeś nadłożył drogi i tu do mnie przyjechał, pomimo żeś się powinien oszczędzać.

Nick zaśmiał się głośno.

— Cóż, ty wyobrażasz sobie, że ja to dla ciebie uczyniłem? Chciałem sobie poprostu odpocząć po drodze.

— Szczególne „po drodze“, zauważył Will.

Nick wstał i położył dłoń na ramieniu przyjaciela.

— A może też liczyłem, że parę dni spędzonych w twojem towarzystwie rozweseli mnie trochę — rzekł żartobliwie. — To także szczególne obliczenie, co?

Will zaśmiał się pomimowoli.

— Istotnie. W każdym razie, będziesz mógł zaświadczyć przed Daisy, że pracuję tu, jak wół w jarzmie, na nią i na malca! Ach, Boże! jaki to sprytny dzieciak! Ale Daisy pisze, że wciąż biedaczek słabuje.

— Jak często miewasz wiadomości?

— Och! ostatni list przyszedł przed trzema tygodniami. Wtedy wszyscy byli zdrowi, ale Daisy pisała krótko, bo Grange właśnie przyjechał. On tam u nich bawi teraz, wiesz.

— I od tej pory nie miałeś listu? — W głosie Nicka zadźwięczało coś nakształt oburzenia.

Will wstrząsnął głową.

— Nie. Daisy była zawsze leniwa do pióra. Ja pisuję każdym parowcem, i, oczywiście, gdy jest co do doniesienia, to i ona pisze. Ale takie tam ciche i jednostajne prowadzą życie, że... i tematu brak.

Nick zmienił przedmiot rozmowy.

DCN.

Wiadomości literackie.

Polonica.

× W czasopiśmie francuskim „La nouvelle revue“, w marcowym zeszycie, znany poeta, Paweł Claudel, zamieścił poemat p. t. „Cantique de la Pologne“.

× We francuskim piśmie „Démocratie“ ukazał się przekład noweli A. Struga p. t. „Sur une tombe“. Przekładu dokonała p. Marya Rakowska.

Z literatury szwedzkiej.

× Jon Bergh. „Po zawierusze“. Powieść rozgrywa się w pierwszej połowie 18-go stulecia, w lasach Finlandyi,

gdy Karol XII, pokonany został przez rosyjan, a rosyjanie wkroczyli do Finlandyi. Czas ten w historii fińskiej nosi miano „Wielkiej zawieruchy“. Mężczyzn w wioskach fińskich było niewiele. Przeważnie poległ w bitwach króla szwedzkiego, inni byli w drodze do ojczyzny, albo w niewoli. Kobiety i dziewczęta prowadziły życie marne, pełne trosk, ukrywały się w lasach, w nieustającej trwodze przed mordercami, pożarami i zdziczałym żołnierstwem. W takich warunkach wyrosła mała Ella, w lesie nad jeziorami. Nigdy nie widziała mężczyzny, a to, co starsze dziewczęta i kobiety opowiadały jej o nich, przejmując ją trwogą i lękiem. Ale oto pewnego dnia zrobił się między kobietami wielki popłoch. Odkryto w lesie ślady stóp mężczyzn. Wszystkie udają się na poszukiwania. Znajdują wkońcu jakiegoś włóczęgę, którego przyjmują z otwartymi ramionami. Tylko Ella trzyma się zdaleka i drży przed nim. Ale zwolna, nieznacznie, włóczęga, Sakari, wkłada się w jej serce i zawiązuje się między starszym, doświadczonym mężczyzną i niewinną istotą miłości: śliczna idylla wśród lasów fińskich, pól, leżących ugiętych, wśród czasów, pełnych niepokoju i żądzy dzikich. Książka pisana jest z dużą prostotą i owiana tchnieniem szczerzej poezyi.

Z literatury szwajcarskiej.

× Feliks Moeschlin: „Der Amerika-Johann“. („Jan z Ameryki“). W swym chłopskim romansie utalentowany autor szwajcarski chce przedstawić, do czego prowadzi, gdy chłop wyrzeka się swej natury, aby wprzódz się w błyszczący rydwan nowego czasu, który złoto rzuca na drogę dla każdego i dla nikogo. „Jan z Ameryki“, wcielony kusiciel, pojawia się we wsi, wykluwa wszystkim oczy swoim złotem i zakłada fabrykę smacznych konserw. Brat jego, ubogi, rozżalony swą biedą, którą teraz dopiero zaczyna odczuwać, wybiega na kamienistą rolę i zostaje zasypyany spadającymi kamieniami. Na skinienie Jana chłop pogardzają swym malowniczym strojem, zaczynają się ubierać czarno, po miejsku; na jego skinienie również sprzedają mu las, przebudowują domy, pomimo że go nazywają oszustem. Wreszcie, kiedy wypędza ich z domów i gospodarstw, cała wieś zbiera się i zabija Jana. Autor pragnął odmalować tragiczny rozstrój w wieśniaczych duszach narodu, przyczem użył niezwyklej siły swego talentu do przedstawienia akcji, która się kończy nadzieją lepszego uświadomienia chłopów i ponownego obudzenia w nich zamiłowania do obyczajów wiejskich.

Z literatury holenderskiej.

× Fryderyk van Eeden: „Sirius i Siderius“. Wybitny autor holenderski w nowej powieści swojej opisuje podróżników, których statek zatonął, a sami w łódce się ratują i wiozą ze sobą nienawiść, zazdrość, kłótnie, całą nędzę życia. Żadna pomoc się nie zbliża, nie ma już pożywienia ani wody, a trwoga przed śmiercią jeszcze bardziej rozbudza zwierzęce instynkty w tych przedstawicielach ludzkości. I oto Tede, ojciec Siriusa, wiecznie niezadowolony, wiecznie urządzający frondy, wiecznie wobec tego, co się już stało, stawiający pytanie: dlaczego?, w obliczu śmierci przyjmuje los z poddaniem, jako Wolę czegoś, czego nie jest w stanie pojąć: stoi na ziemi i patrzy w Niebo. I teraz zrozumiał całe swe dotychczasowe życie: to nieszczęście musiało się stać dlatego, a tamto

otrzymane **Nowości** na sezon wiosenny i letni w welnachs, jedwabach i bawełnach na kostiumy i suknie, oraz towary białe pierwsz. fabryk krajowych i zagran., chustki, pończochy, rękawiczki i t. p.

POLECA:
Warszawa, Bracka 16,
Telefon 222-42.

FELIKSA SKRODZKIEGO i S=

W DWO OTWORZONY
MAGAZYN BŁAWATNY
I SKŁAD PŁÓTYNA

niepowodzenie dla czego innego; wszystko miało swoją przyczynę, bo wszystko, łańcuchem wydarzeń związane, prowadziło do dzisiejszej godziny, w której wie, że dziecko jego ocalone, a on sam ocalony przed sobą. I objawienie swoje duchowe głosi strwożonym towarzyszom w łódce, a dusze ich powoli uwalniają się z brzydkich narowów. Dreszcz wspólnego zachwycenia ogarnia ich, nie boją się już śmierci. Ale oto, dano sygnał: — ratunek się zbliża i rozlega wspólny okrzyk radosny: „Niech żyje życie!” Tylko Tede zakrył twarz i nie wyrzekł już ani słowa. Czuł, że szczęście jego topnieje i znika; przejęty bólem, zrozumiał, że koniec, pełen chwały na wyżynach jeszcze nie nadszedł, że należy oczekiwać nowego zatonięcia, na które trzeba czekać cierpliwie.

TREŚĆ № 19.

Gromada. *Józef Weyssenhoff.*
Młodość panny Mani. *Alfred Konar.*
O dobrej Graetchen. *Antoni Lange.*
Szlakiem orła. *E. M. Dell.*
Wiadomości literackie.

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową, 4 rb. rocznie, 2 rb. półrocznie, 1 rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
Warszawa, ulica Zgoda № 1.

Redaktor: **STEFAN KRZYWOSZEWSKI.**
Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ulica Bonerowska 12.

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie

Z dziedziny kosmetyki.

Anieli. Zbyteczne włosy usunąć można za pomocą środka zwanego *Epil Max* i jakkolwiek po kilku tygodniach włosy odrosną, jednak po systematycz-

nem i uporczywym używaniu tego środka coraz węższe włoski ukazywać się będą, aż nareszcie zanikną.

Energicznej. Zmarszczki znikną przy stałym używaniu na noc *Abaridu* i stosowaniu masażu aparatem *Heros*. Wszelkie masaże gniecione, stukane i t. p. nie pomogą, tylko jedynie masaż pneumatyczny czyli ssący zadanie swoje spełni należycie, zmuszając krew, aby dopływała do miejsc prawie zanikających a więc wędrujących. Masaż taki tylko samej sobie robić można.

Halinie. Przeciw nadmiernej otyłości: dłuższe spacery bez zmęczenia, unikanie mącznych potraw, spożywanie jarzyn, owoców, mało napojów, zup żadnych, picie na czczo *Ziół Paragwajskich*, zaparzanych, jak herbata, wcieranie w części ciała najwydatniejsze kremu *Unique* i masowanie tych miejsc aparatem *Heros*, specjalnym do odtłuszczania. — Siwiejące włosy doprowadzi do barwy pierwotnej *Excelsior*.

Strapionej. Ciemno - żółtą cerę można wybielić trwale w przeciągu paru miesięcy. Na godzinę lub więcej przed udaniem się na spoczynek wetrzeć w twarz, szyję, ramiona, gors trochę *Abaridu* i, nim wyschnie, zapudrować pyłkiem *Juvenia Candida*, a rano myć się ciepłą wodą i *Otrąbkami abaridowemi* zamiast mydła. Po umyciu można twarz pudrować, ale tylko *Pudrem abaridowym*, gdyż wszystkie inne prawie zawsze zawierają bizmut który wytwarza wagi. Wagi, które już się pojawiły, przed samym rannem myciem twarzy wycierać *Pureolem*, nasączonym na kawałek waty. Ciemne ręce również zupełnie się wybielą przez użycie kremu *Pate des Prelats* i zapudrowanie pyłkiem *Juvenia Candida*. Włosów nie myć w zimie; z tego powstają łysienia. Najbardziej tłuste nawet wyczerści dokładnie, na sucho, specjalny puder *Florentine*.

Wstydliwemu. Niemila woń ust usunie proszek *Albol* i eliksir *Anidol*, przyczem zęby zupełnie wybielają. Oba te środki zapobiegają jednocześnie wszelkim bólom gardła.

Do Wszystkich. Środki tutaj omawiane mają, na składzie firmy: „*Perfection*”, Szpitalna, 10, i *Paszkowski*, Marszałkowska, 109, oraz Nowosenałowska, 2. We Lwowie, *Pawłowski*, Akademicka, 21, w Krakowie, *Miklaszewski*, pl. Dominikański, 1, w Poznaniu, *Gadeusz*, Nowa, 7, w Łodzi *Spiess*, w Wilnie *Grużewski*. Na kopertach z pytaniami należy dopisać „*Dział Kosmetyczny*”.

M-me Erceadés.

Siwe włosy

gina bezpowrotnie po jednorazowym użyciu „*Wody Pigmol*”. Woda ta nie farbuje lecz przywraca naturalny kolor włosów. Nie zawiera tłuszczu ani osadu. Nie brudzi skóry, proszę raz spróbować jeśli nie poskutkuje, przyjmujemy z powrotem: skład główny perfumeryjny J. Wróblewskiej, dawniej Lipink. Wierzbowa róg Niecałej, tel. 75-56. Wysyłka za zaliczeniem.

MOR TĘPI RADYKALNIE
szczury i myszy
wyłączna sprzedaż
ST. STANISZEWSKI
Warszawa, Krak.-Przedm. № 31.
Skład apteczny i perfumeryjny.

HEMORIN
MAGISTRA
KLAWE
(ŚWIECZKI) PRZECIW o
HEMOROIDOM.
Skład gł.
ro, P. św.
Aleksan.
Apteka

Poco wydawać pieniądze na kupno nowego kapelusza słomkowego, kiedy przy pomocy „*Słominu*”, ze starego z łatwością można zrobić nowy. „*Słomin*” wyrobu „*Centralnego Laboratorium Chemicznego*”, dostać można we wszystkich składach aptecznych.

JAN KRAFFT

Marszałkowska 154
RÓG KRÓLEWSKIEJ.

SUKNA, KORTY, TOWARY BŁAWATNE.
Nowości na każdy sezon.
Na prowincje wysyłka za zaliczeniem.

Warsz. Poliklinika
Lekarsko-Dentystyczna,
Nowy-Świat № 5.

Chirurg na miejscu. Porada bezpłatna. Zęby sztuczne w złocie, kauczuku, plomby, korony złote, leczenie; prostowanie krzywo rosnących zębów, przy poliklinice ambulatorium dla niezamożnych chorych codz., 9—10 r.

DOM BANKOWY

Z. Szempliński i S= Nowy-Świat 40,
tel. 98-60.

Kupno i sprzedaż papierów procentowych, przekazy na zagranicę. Assekuracja. Lokaty. Konserwacje w Tow. Kredytowym.

Biedna wdowa

po obywatelu ziemskim bez żadnych środków do życia, zwraca się z gorącą prośbą o pomoc. Ofiary pod literami K. M. przyjmuje Administracja naszego pisma.

Wydawnictwa Tow. Akc. Wydawniczego „Świat”

WINC. KOSIAKIEWICZ
**Powrót
z za świata**

Cena rb. 1.—

BOLESŁAW GORCZYŃSKI
**Na tropie
trucizny**

ROMANS.
Cena rb. 1.80.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

**Warszawska Kasa Oszczędności
i Pożyczek.**

Krakowskie-Przedm. № 20, tel. 50-92.

Wydaje **pożyczki od 300 rb.**, spłacane ratami na dogodnych warunkach. Przyjmuje **wkłady**, płacąc do 7%.

Żołądkowo-chorym

w różnych objawach ich dolegliwości (katar żołądka, obstrukcja, zgaga, zawroty głowy, gazy i t. p.) wskazać skuteczny środek domowy. Zapytania listowne, z dołączeniem markina na odpowiedź, przysyłać do Biura „Ungra”, Wierzbowa № 8 sub. „Zdrowie”.

LOKALE dla Banków, Kupców i Przemysłowców LOKALE

w najlepszym punkcie miasta (w nowobudującym się domu) **Nowo-Miodowa № 3** róg Senatorskiej i Junkierskiej, do wynajęcia **od 1-go Lipca r. b.** Lokal odpowiedni także na **kawiarnię, cukiernię** i t. p. — Na żądanie mogą być połączone 3 lokale piętrowe z dolnym sklepem, 4 wystawowymi oknami 9x9 i 4 okna 4x4 łokci, wielkość sal 520 łokci, mogą być rozdzielone według wymagań. Centralne ogrzewanie, 2 windy i wszelkie nowoczesne urządzenia.

Wiadomość na miejscu od 10 — 12-ej, lub u właściciela Z. Alberga, Marszałkowska 53 od 3 — 5 godz. Telefon 30-27.

Grand Café Versailles Bagatela № 12 Właściciele: Bracia Karczmarszewscy BILARDY. TELEFON 210-46.



Pierwsza w Kraju Specjalna Fabryka Kół i Wozów

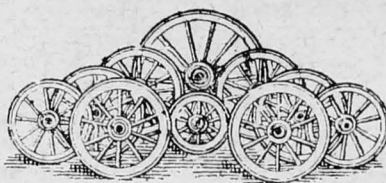
H. WAGNER i S-ka

Warszawa-Targówek. Tel. 62-99.

ZARZĄD: Warszawa, Złota 23. Tel. 212-80.

Koła do karet, powozów, bryczek, platform, wozów i wszelkie inne gwarantowanej trwałości, naciąganie **na zimno** na maszynach hydraulicznych. Nowe wozy kolejowe, saskie i półtoraczne.

Cenniki na żądanie gratis i franco.



Wielki Medal Srebrny na Wystawie w Lublinie 1908 rok. — Złoty Medal na Wystawie w Częstochowie.

ZAKŁAD

Lecznicy dla przychodzących z chorobami żołądka i kiszek

Dr. Tadeusza Wilczyńskiego

Al. Jerozolimska № 35. Tel. 282-25, przyjęcia od 9—10 r., od 1—3 i 6—7 p.p.

W. Cybulski i S-ka



Trębacka № 9.

DAWNIEJ

ul. Nowo-Senatorska № 7.

Tel. 60-29.

Wyroby Słodlarsko-Rymarskie i Sportowe.

NICI

Towary Norymberskie, Galanteryjne, Roboty ręczne

recommenda **Albert Sperlich**, Jerozolimska 19.

długoletni współprac. Firmy A. Ludwig róg Brackiej 6706



Najtańsze oświetlenie

klatek schodowych, kuchen, korytarzy i t. p.

Palnik gazowy „MIKRO” o sile światła 16 świec zużywa na godzinę gazu za 1/8 kop.

== Cena 75 kop. ==

Skład główny: ERYWAŃSKA № 3, tel. 87-99.

W KISSINGEN.

(Hotel Sanner Kurhaus-Str.).

Ordynuje podczas sezonu

Dr. J. MODRAKOWSKI

Prof. Uniw. Lwowskiego.

Piekarnia Nowa A. Ł. Nowy-Swiat № 68

nabyła na wyłączną własność prawo wyrabiania specjalnego chleba i sucharków dla diabetyków „KLEBON” podług przepisu prof. (chorych na cukrzycę) p. n. F. X. Kleinpetera w Wiedniu. „KLEBON” sprzedaje się za pozwoleniem Urz. Lek. m. W. w sklepie głównym Piekarni Nowej, NOWY-SWIAT № 68 w specjalnym opakowaniu, opatrzonym marką fabryczną, oraz podpisem wynalazcy.

MAGAZYN BIELIZNY

E. ROGOZIŃSKA

NIECAŁA № 4. TEL. 191-63.



Kaucyonowane Biuro Pośrednictwa Pracy

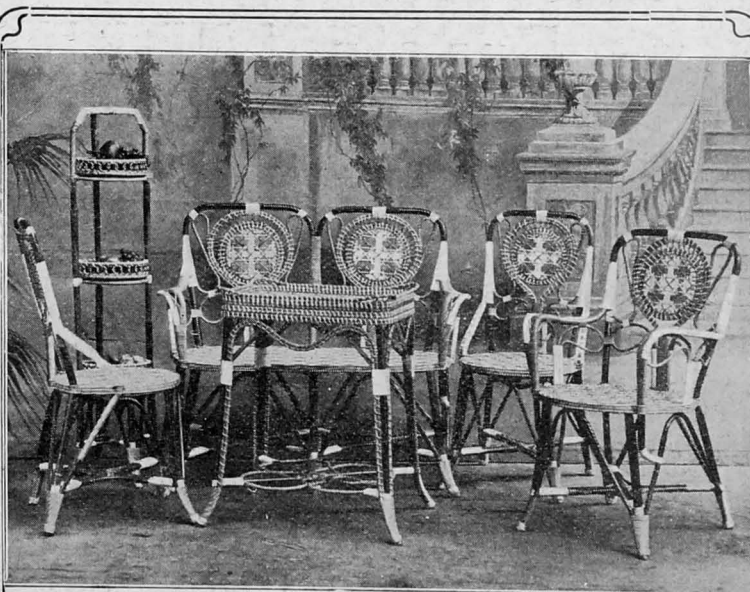
p. f. **„Marya Szymborska”**

Warszawa, Żórawia № 27. Tel. 26-54.

== poleca ==

Gospodynie wiejskie, kucharki, panny służące, młodsze, nianie, bony, freblanki, wychowawczynie, bufetowe, ekspedientki, krawcowe, bieliźniarki, dziewczynki do sklepów i aptek i etc., jak również i służbę męską, o świadectwach i referencyach TYLKO SPRAWDZONYCH.

„Świat” № 20 z dnia 17 Maja 1913 r.



Do ogrodów, werand, hal, poczekalni MEBLE TRZCINOWE

W. i W. KRAKOWSCY, Warszawa, Al. Ujazdowska 16.

Katalogi gratis i franco.

BAR WALDSCHLUSCHEN
PIWO POWSZECHNIE ZNANE

MONIUSZKI № 12.

Duży zapas win węgierskich od rubla 1.50 butelka.
Kuchnia wyborowa. Krupnik litewski na gorąco. Wieczorami koncert. Centrum miasta. Rendes vous dla przyjezdnych.

W ZDROWEM CIELE — ZDROWA DUSZA.
MYJCIE i KĄPCIE SIĘ W OZOFLUINIE
 (kąpiele sosnowo-balsam. pod postacią ziarnistego proszku) **Ozofluin-Centrela Bazylea.**
 Zalecane przez lekarzy całego świata.
 Jcner. Reprez. **JAN SROCYŃSKI,** Warszawa, Złota 23.
 Telefon 212-80.
 ŻADAĆ WSZĘDZIE.

SKŁADY DO PRZECHOWANIA MEBLI
W. WĘGIEŁEK i SKA
 NOWOGRODZKA 2 RÓG BRACKIEJ
 OPAKOWANIA, PRZEPROWADZKI
 TELEF. 14088

Kühle, Miksche i Türk
 Właściciel **B. ŻURKOWSKI**
 WARSZAWA, ALEJE JEROZOLIMSKIE 43.
 TEL. 31.27.
APARATY FOTOGRAFICZNE
 dla p. p. Amatorów i Zawodowców oraz wszelkie przybory do tychże.
LORNETKI pryzmatowe i teatral.
 Latarnie do projekcji.
KINEMATOGRAFY.
 Towar gwarantowany.
 Ceny najniższe — fabryczne.

Bardzo nieszczęśliwa,
 opuszczona przez męża, matka trojga dzieci nie jest w stanie zapracować na utrzymanie. — Ofiary przyjmuje Administracja dla W. K.

Continental
 najlepszy
Pneumatyk

Bracia JABŁKOWSCY



TOWARZYSTWO
 AKCYJNE

□ □ □

WARSZAWA,
 BRACKA 23.

DOM TOWAROWO KONFEKCYJNY

NOWOŚCI

WIOSENNE
 LETNIE
 NADESZŁY
 DO
 WSZYSTKICH
 DZIAŁÓW
 MAGAZYNU.

WYSYŁKA

PRÓB
 KATALOGÓW
 KOSZTORYSÓW
 BEZPŁATNIE.



Wspaniale ilustrowana literatura w języku polskim o artykułach fotograficznych

„Agfa”

do nabycia bezpłatnie w składach przyborów fotograficznych, oraz w reprezentacji

„Agfa”
J. Freider & Co.

KRÓLEWSKA 35,
 w Warszawie.

Niezwykle pouczający jest podręcznik fotograficzny „Agfa”, opisujący:

Klische i błony-
 Tablice do wymiaru
 ekspozycji-

„Agfa” Wywoływacze-
 Artykuły pomocnicze-
 Artykuły magnezowe i inne

„Agfa”